

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy, — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 7 stycznia 1911. Nr. 1.

Krwawy porachunek.



Nr. 1. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Otwarcie delegacyi. — Ustąpienie zasłużonego działacza. — Echa miłosnej tragedyi. — Zatarg w Syndykacie rolniczym — Rewolta marynarzy brazylijskich. Z życia Indyan w Ameryce południowej. — Ostatnie katastrofy awiatyczne. Zgon dyrektora teatru w Pradze. — Fałszywy doktor filozofii Przeciw aeroplanom. — Książę pruski a [illegible]torem. — Ze sportu zimowego w Austryi. — „Paweł I“ na scenie krakowskiej.

OD REDAKCYI.

Zwracamy uwagę naszym P. T. Czytelnikom i Prenumeratorom, iż w numerze dzisiejszym zamieszczamy ponownie ogłoszenie

Wielkiej szarady o nagrody.

W objaśnieniach podane są jak najszczegółowiej warunki, pod jakimi można uczestniczyć w losowaniu i nagrody, przez Redakcyę oznaczone, otrzymać.

Krwawy porachunek.

(Do illustracyi tytułowej).

Jak gdyby dla zaokrąglenia długiej listy krwawych zamachów, gwałtów terrorystycznych i napadów bandyckich, jakich widownią była w ubiegłym roku Warszawa, dokonano w dniu 30 grudnia niesłychanie krwawego napadu na mieszkanie piekarza Abrahama Bembna, mieszkającego przy ul. Franciszkańskiej.

Wyjaśnienie motywów zajścia, zakończonego bardzo tragicznie, bo śmiercią jednej osoby a ciężkiem pokaleczeniem kilku innych, jest wyjątkowo trudne, gdyż rodzina Bembna należała do bardzo spokojnych i nie dawała nikomu powodów do tak straszliwej nienawiści i tak krwawej zemsty. Nie wchodziły też w rachubę zamiary rabunkowe, gdyż sprawcy potwornego napadu nie tknęli przedmiotów, znajdujących się w mieszkaniu Bembnów. A jednak napadu dokonano w sposób niesłychanie śmiały, a jednak napastnicy zamordowali strzałami rewolwerowymi, sędziwą matkę piekarza Bembna, jego zaś samego i córkę ciężko poranili. W krwawych dziejach ostatnich napadów morderczych w Warszawie, napad na rodzinę Bembnów zajmuje jedno z naczelnych miejsc.

Wspomnianego dnia zgromadziła się wieczorem cała rodzina Bembnów w izbie mieszkalnej, odgraniczonej od piekarni kuchnią, celem spożycia wieczerzy. Prócz obojga Bembnów i ich córki, 17 letniej Feigli, była w pokoju sędziwa matka gospodarza, Pesa, która z powodu choroby leżała w łóżku.

Naraz usłyszano w przylegającej do pokoju kuchni odgłosy kroków kilku mężczyzn, a wnet potem zjawili się oni w słabo oświetlonej świecami izbie. Równocześnie rozległ się huk wystrzałów rewolwerowych. Ugodziły one naprzód starą Pesę Bembnową; następnie rzucili się napastnicy ku piekarzowi, któremu kule zadały kilka ran w głowę i ramię, wreszcie ofiarą padła i córka Feigla, otrzymawszy również postrzał w głowę. Żona gospodarza, Ryfka Bembnowa, szczęśliwym trafem uniknęła ran i gdy rozbójnicy opuścili po dokonaniu krwawego czynu mieszkanie, zaalarmowała mieszkańców domu prosząc ich o pomoc i ratunek.

Wezwane pogotowie ratunkowe zajęło się opatrzeniem ran pokaleczonych ofiar napadu, z których stara Bembnowa poniosła śmierć na miejscu. Abrahama Bembna opatrzono i pozostawiono w opiece domowej, natomiast córkę Feiglę odwieziono do lecznicy.

Równocześnie policya podjęła dochodzenia celem wyszukania sprawców niesłychanie śmiałego i krwawego napadu. Aresztowano jeszcze tego samego dnia około 30 podejrzanych osób, czy jednak są wśród nich właściwi winowajcy, trudno na razie stwierdzić.

Wedle przypuszczenia Abrahama Bembna, krwawy napad na jego piekarnię był zemstą za wydalenie jednego z robotników piekarni, a to z powodu podeszłego jego wieku. Przypuszczenie to popiera Bemben paru okolicznościami, z których wynika, że rodzina oddalonego robotnika miała żal do Bembna i że się odgrażała. Trudno jednak przypuścić, by tak błahy powód mógł skłonić kogokolwiek do niesłychanie krwawej zemsty, do mordowania niewinnych ostatecznie ludzi.

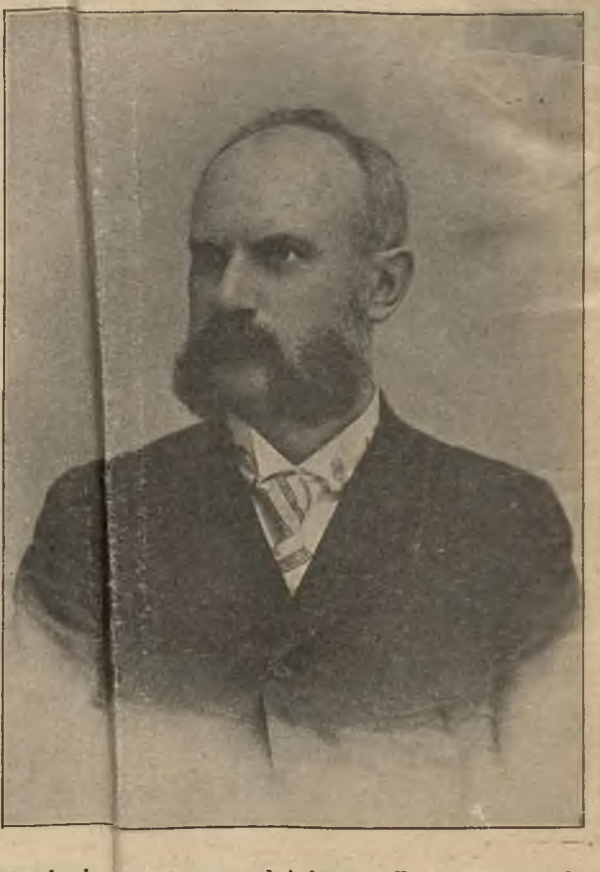
Ustąpienie zasłużonego działacza.

W początkach ubiegłego miesiąca pożegnała kresowa Polonia w Horodence emerytowanego radcę namiestnictwa, dra Czesława Niewiadomskiego, który przez lat kilka piastował tutaj urząd sekretarza rady powiatowej. Ceniono go powszechnie za jego obywatelską i narodową działalność. Obdażony dużą wiedzą i zapałem do pracy, był duszą i organizatorem tamtejszych towarzystw. Sprawa narodowa przez jego wyjazd ponosi niepowetowaną stratę, nie prędko bowiem znajdzie się następca, któryby potrafił sobie tam we wszystkich sferach społeczeństwa, wyrobić tak poważne stanowisko i zaskarbić ogólną sympatyę.

Celem uczczenia zasług ustępującego i podziękowania mu za jego prawdziwie obywatelską a tak wydatną działalność, odbyło się w sali horodeńskiego Sokoła uroczyste pożegnanie, w którem wzięło udział liczne grono osób miejscowych i z okolicy. Szereg przemówień pożegnalnych, tchnących żalem i serdecznością, był najlepszym dowodem, jaką sympatyą, uznaniem i miłością cieszył się zarówno sam, jak i cała zacna jego rodzina, która w pracy narodowej z poświęceniem mu pomagała.

Był on duszą tamtejszej rady powiatowej, która nader wiele mu zawdzięcza. Aby ludność powiatu mogła w łatwy sposób dojść do ogniotrwałego pokrycia domów, dał inicyatywę do założenia fabryki dachówek, w której zarządzie zasiadał jako wiceprezes. Należał także do założycieli Towarzystwa budowy tanich domów dla urzędników, które dziś już rozporządza parcelami budowlanemi wartości kilku tysięcy koron.

Nader owocną była także jego działalność na polu narodowo oświatowem. Był prezesem tamtejszego Koła T. S. L. i założył kilka czytelń, jego głównie staraniem odbywały się w okolicy powszechne wykłady uniwersyteckie, w których sam brał czynny udział. Pozatem zajmował się obchodami narodowymi, na



Ustąpienie zasłużonego działacza: Emerytowany radca namiestnictwa dr. Czesław Niewiadomski.

których wygłaszał odczyty lub słowa wstępne, słowem nie brakło go nigdzie, gdzie tylko mógł znaleść pole do pracy dla dobra społeczeństwa. Założył także bursę polską, w której znajduje pomieszczenie kilkunastu chłopców.

Obecnie przenosi się p. Niewiadomski do Lwowa, gdzie obejmuje urząd dyrektora nowo utworzonego „Związku wierzycieli celem ochrony kredytu kupiectwa“.

Zatarg w Syndykacie rolniczym.

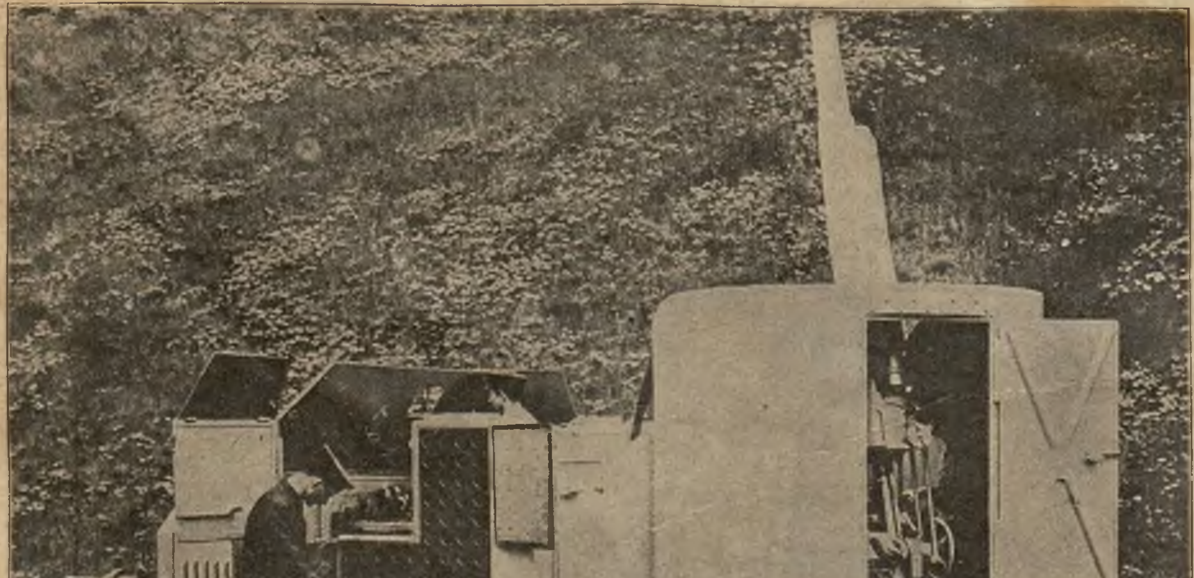
Poniekąd sensacyę dnia, zwłaszcza zaś w sferach rolniczych, stanowią ostatnie zajścia w krakowskim Syndykacie rolniczym, jednej z najpoważniejszych naszych instytucyi handlowo rolniczych, gdzie powstał namiętny, prawie że gorszący spór pomiędzy dyrekcyą Syndykatu z jednej a radą nadzorczą z drugiej strony.

Przyczyny sporu zdają się tkwić w samych początkach założenia dzisiejszego Syndykatu. Przed rokiem przekształcono mianowicie istniejący od dość dawna Związek handlowy Kółek rolniczych na Syndykat rolniczy. Dotychczasowi członkowie Związku zostali członkami Syndykatu, a nadto nowopowstały w ten sposób Syndykat rolniczy objął członków istniejącego dawniej a znajdującego się w likwidacyi Syndykatu towarzystw rolniczych.

W tem wchłonięciu starego Syndykatu przez nowy tkwi, jak się zdaje, istotna przyczyna sporu, która jaskrawo ujawniła się po raz pierwszy przed miesiącem niespełna. Z początku bowiem panowała zupełna zgoda między dyrekcyą, na której czele stoją pp. dr. Prażmowski i Szczawiński, a między radą nadzorczą, której prezesem jest p. Henryk Dolański.

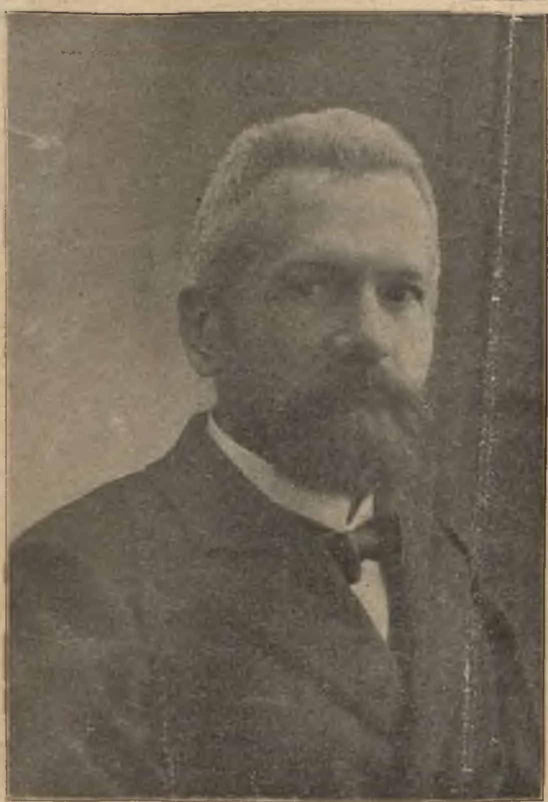
Przed miesiącem dopiero, jak wspomniano, wybuchnął spór. Dyrekcya uznała radę naczelną za nieistniejącą, bo wybraną wbrew postanowieniom statutu, rada nadzorcza zaś zwróciła się z repressaliami przeciw dyrekcyi. Skutek był oczywiście ten, że obie strony z jak największą stanowczością nie uznały tych zarządzeń.

Pod takiemi auspicyami, w stadyum wypowiedzianej wojny, miało się odbyć we czwartek 29 zm. walne zgromadzenie członków Syndykatu. Odbyło się pod przewodnictwem wiceprezesa rady nadzor-



Przeciw aeroplanom: Działo niemieckie, przeznaczone do rzucania pocisków przeciw aeroplanom.

czej prof. dr. Cybulskiego, ale z wykluczeniem od udziału w obradach członków dawnego Syndykatu rolniczego, a to z powodu, że nie wpłacili oni swych udziałów. Zgromadzenie zsolidaryzowało się w zasadzie z dyrekcyą, uznając radę nadzorczą za nielegalnie wybraną i polecając dawnej radzie objąć



Zatarg w Syndykacie rolniczym: I. dyr. dr. Adam Prażmowski.

na nowo urzędowanie, aż do uporządkowania stosunków w Syndykacie.

Na tem nie koniec jednakże. Wykluczona z walnego zgromadzenia rada nadzorcza tego samego dnia odbyła poufne posiedzenie, na którem usunięci z Syndykatu członkowie rady nadzorczej uchwalili usunięcie od zarządu Syndykatu obu dyrektorów.

Sprawa pomimo całej powagi swej i pomimo, że jest echem stosunków nadzwyczaj przykrych, przybiera w ten sposób odcień, który można chyba nazwać wesołym, gdyby nie to, że wszystko, co się dzieje obecnie w Syndykacie, dalekiem jest od pogodnej wesołości farsy.

Mówią, że w grę w całej tej aferze wchodzą walki osobiste, mówią też, że to podkład polityczny jest przyczyną tych wszystkich — bardzo delikatnie mówiąc — nieporozumień. Nie wchodząc z naszej strony w te szczegóły i plotki, wyrazić przecież możemy nadzieję, że obie strony zrozumieją niebezpieczeństwo, jakie taka walka niesie instytucyi handlowej, jaką Syndykat jest przedewszystkiem i możliwie prędko sprawę załagodzą, a zatargom kres położą, co z pewnością bardziej leży w interesie ziemiaństwa, niż np. polityka w Syndykacie, z natury rzeczy na małą i ciasną prowadzona miarę.

Książę pruski awiatorem.

Ruchliwość, niepokój wewnętrzny książąt z domu Hohenzollernów, co pewien czas pogłoskami i wieściami o nowych ich przedsięwzięciach wypełnia szpalty pism niemieckich i zagranicznych. Lwia część tych wiadomości odnosi się, rzecz jasna, do cesarza, który lubi być wszechstronnym i robić, a jeszcze bardziej mówić wiele a powierzchownie. Ale i o innych książętach i księżniczkach pisze się i mówi przy różnych sposobnościach. Najmniejszym może takim „okazyjnym“ rozgłosem cieszy się brat cesarza, książę Henryk pruski, admirał pierwszej eskadry marynarki, a przytem znany sportsman, automobilista i... nieprzyjaciel mów, które w przeciwieństwie do swego cesarskiego brata oraz swych siostrzeńców i siostrzenic, nader rzadko wygłasza... Ostatnią sensacyą, jaką na ogół spokojny książę dał Niemcom, jest zajęcie się jego awiatyką — nietylko amatorskie, polegające na jednym czy drugim wzlocie pasażerskim w możliwie pogodnym i cichym dniu, ale całkiem poważne teoretyczne i praktyczne studya awiatyczne, które zamierza uwieńczyć egzaminem na pilota, przepisanym, jak wiadomo, w większości państw europejskich dla praktycznych awiatorów.

W ten sposób ks. Henryk, pierwszy z Hohenzollernów stanie się zdobywcą... powietrza, w którem zresztą, a nie na morzu, według złośliwego twierdzenia Anglików, parafrazujących znane powiedzenia Wilhelma, odnoszące się do morza, leży przyszłość Niemiec.



Książę pruski awiatorem: Książę Henryk (X) i awiator Euler.

Ze sportu zimowego w Austryi.

Rozwijający się u nas w ostatnich czasach i coraz piękniejszymi rezultatami mogący się poszczycić ruch w kierunku podniesienia a raczej wprowadzenia i rozpowszechnienia sportów zimowych, na zachodzie, od dawna wielką cieszy się popularnością.

Zrozumiano tam już bowiem oddawna, że przez odrodzenie fizyczne, droga do odrodzenia duchowego. To też sport zimowy stał się tam już dawno nieodłączną stroną życia współczesnego i we wszystkich warstwach społecznych znalazł licznych i zapalonych zwolenników, którzy oddają się mu z zamiłowaniem, pomimo trudności i ograniczeń, jakie za sobą pociąga; wymagając tak dla nart jak i dla saneczek specyalnych, górzystych terenów.

Terenami takimi, jedynymi w swoim rodzaju, jakby wymarzonymi, są kraje alpejskie. To też nie dziw, iż kwitnie tam sport, o którym mówimy i rok rocznie nowych zdobywa zwolenników. Dużą pomocą w tym kierunku jest znakomity zmysł organizacyjny Niemców, stwarzających coraz to nowe zjednoczenia sportowe, a przy nich znów liczne kursa dla adeptów, niewtajemniczonych jeszcze w zasady szlachetnej, zdrowiu pożytecznej rozrywki.

Jeden z takich większych kursów, który odbył się niedawno w alpejskiem miasteczku Mariazell, urządzony staraniem międzynarodowego Związku narciarskiego, świadczy najlepiej, jaką wagę przykładają na zachodzie, nawet w Austryi, do rozwoju sportu zimowego. Wśród gości, przybyłych na popis uczestników kursu, znalazł się prezydent ministrów br. Bienerth, oraz wielu dygnitarzy rządowych i autonomicznych.

U nas... pod tym względem inaczej, chociaż zdaniem naszem pessymizm byłby tu nie na miejscu. Przełamane już pierwsze lody pozwalają przypuszczać, że z czasem i u nas sport zimowy zajmie należne sobie miejsce. Na razie możemy przyglądać się Niemcom i ich podziwiać, oraz zachęcać młodzież naszą, by pod tym względem szła w ich ślady.

Dowodem pomyślnego a bardzo sympatycznego zwrotu u nas pod tym względem, jest wzrastająca szybko liczba saneczkarzy i narciarzy zarówno w głównych miastach galicyjskich, we Lwowie i w Krakowie, oraz w Zakopanem, jak nawet we wszystkich niemal miastach prowincyonalnych.

Ostatni kurs narciarski, zorganizowany w ubiegłym tygodniu przez Tatrzańskie towarzystwo narciarzy, odbył się przy sprzyjających bardzo warunkach w Zakopanem i zgromadził około 50 uczestników, w tem kilka pań. Kierownictwo kursu spoczywało w ręku dwu przodowników towarzystwa narciarzy, mianowicie inżyniera Bobkowskiego i Wł. Pawlicy.

Otwarcie delegacyi.

W ubiegłym tygodniu nastąpiło w Budapeszcie uroczyste otwarcie obu delegacyi austryacko-węgierskich. Instytucyą delegacyi nazywa się zgromadzenie posłów, wybranych przez parlament obu połów monarchii, celem obrad nad sprawami wspólnemi całego



Ze sportu zimowego w Austryi: Uczestnicy kursu narciarskiego w Mariazell.

państwa. Delegacye zostały ustanowione w grudniu 1867 r. Przedlitawia wysyła ze swej strony 60 posłów, z czego 20 wybiera izba panów, taką samą ilość posłów deleguje sejm węgierski, którego izba magnatów wybiera w tym celu trzecią część delegatów.

Delegacye obradują w zasadzie oddzielnie, a postanowienia komunikują sobie wzajemnie na piśmie,



Otwarcie delegacyi: Następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand.

jako t. zw. *nuntia*. Tylko w takim wypadku, gdy trzykrotna wymiana pism nie doprowadzi do pomyślnego rezultatu, delegacye schodzą się razem i rozstrząsają daną sprawę przez wspólne głosowanie. Do prawomocności uchwały potrzebna jest obecność przynajmniej po 40 delegatów z każdej strony. Delegacye obradują na przemian raz w Wiedniu, raz w Budapeszcie.

Sprawami wspólnemi monarchii, które podlegają kompetencyi delegacyi, są stosunki zagraniczne, dalej sprawy wojenne oraz finansowe, o ile dotyczą wydatków wspólnych całego państwa.

Tegoroczne obrady delegacyi toczyły się z kolei w Budapeszcie a otwarcie ich wywołało z tego powodu ogólne zainteresowanie, że w zastępstwie cesarza otworzył je następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand. Był to pierwszy oficyalny występ austryackiego następcy tronu w charakterze zastępcy cesarza, dlatego też towarzyszyło mu wielkie zaciekawienie.

W dniu otwarcia delegacyi przybył arcyksiążę Franciszek Ferdynand rano do Budapesztu i udał się natychmiast do zamku królewskiego. Przy powitaniu nie było na życzenie arcyksięcia żadnych uroczystości.

Otwarcie delegacyi nastąpiło przed południem w zwyczajny, bardzo uroczysty sposób. Przed go dziną 11 zgromadzili się austryaccy delegaci w białej sali królewskiego zamku, dokąd wprowadzał ich węgierski marszałek dworu, Mikołaj Palffy, w zastępstwie chorego ks. Gudenusa. Prócz posłów, członków delegacyi, zjawili się tam ponadto: minister spraw zagranicznych hr. Aerenthal, prezydent gabinetu bar. Bienert, wspólni ministrowie wojny i finansów, kapitanowie gwardyi, starszy ochmistrz dworu br. Rummerskirch i inni wysocy dygnitarze. Nakoniec wszedł na salę arcyksiążę-następca tronu, którego zebrani powitali okrzykami „niech żyje!"

Kiedy arcyksiążę Franciszek Ferdynand zajął swe miejsce na podwyższeniu, przemówił doń naprzód prezydent delegacyi austryackiej dr. Bärnreiter, a następnie prezydent delegacyi węgierskiej hr. August Zichy, poczem na przemówienia te odpowiedział następca tronu, wygłaszając mowę tronową imieniem cesarza.

Po wygłoszeniu mowy tronowej rozmawiał arcyksiążę z obu prezydentami delegacyi oraz z wice-



Zatarg w Syndykacie rolniczym: drugi dyrektor Leon Szczawiński.

prezydentem dr. Głąbińskim, następnie zaś udał się do swoich apartamentów w zamku, żegnany owacyjnymi okrzykami.

Na tem zakończyło się uroczyste otwarcie delegacyi.

Zdjęcie nasze przedstawia widok zamku królewskiego w Budapeszcie, położonego przepięknie nad Dunajem, zamieszczamy też portret arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.



Otwarcie delegacyi: Widok zewnętrzny zamku królewskiego w Budapeszcie, gdzie następca tronu otworzył uroczyście delegacye.

Pamiątka narodzin Chrystusa.

(Do illustracyi na str. 10).

W ubiegłym tygodniu obchodził cały świat chrześcijański pamiątkę narodzin Jezusa Chrystusa. Nie było chyba miejscowości, gdzieby nie rozlegały się



Fałszywy doktor filozofii: Stanisław Lewicki, brat mordercy śp. Ogińskiej, pozostający pod zarzutem sfaszowania świadectwa dojrzałości (Do art. na str. 10).

wesołe pienia, przypominające to radosne zdarzenie. Rzecz prosta, że w Betleem w Palestynie, gdzie się właśnie Chrystus narodził, uroczystość Bożego Narodzenia obchodzi się ze szczególniejszą wspaniałością a biorą w nich udział nietylko tłumy chrześcijan wszystkich obrządków, ale także i mahometanie. W tym czasie przybywają do Betleem tłumy pielgrzymów z różnych stron, nie brakuje między nimi nawet mieszkańców Europy.

W miejscu, gdzie według tradycyi miał się narodzić Jezus Chrystus, wybudowała w r. 327 cesarzowa Helena wspaniały kościół, obok niego znajdują się trzy oddzielne klasztory: łaciński, grecki, i ormiański. Każde z tych wyznań posiada oddzielne wejście do świętej groty, znajdującej się pod ołtarzem i oświetlonej trzydziestu dwu lampami.

Tutaj w dniu narodzin Chrystusowych odbywa się pontyfikalne nabożeństwo, po którem wyrusza procesya na ulice miasta. Tłumy pobożnych, drugie tyle ciekawych, zalegają ulice i place, któremi przechodzi pochód. Biorą w nim oficyalny udział także przedstawiciele władz tureckich. Płaskie dachy wschodnich domów przepełnione są ciekawymi, opłata za wynajęcie okna na czas uroczystości rośnie w miarę napływu Europejczyków. Szczególniej Anglicy nie żałują pieniędzy, aby zdobyć sobie jak najwygodniejsze miejsce, skądby mogli spokojnie przypatrywać się przebiegowi podniosłej uroczystości.

Chociaż Betleem jest maleńką mieściną, liczącą siedm tysięcy mieszkańców, należących do różnych wyznań chrześcijańskich, ruch obcych jest tutaj przez rok cały bardzo ożywiony, w samem bowiem miasteczku i okolicy znajduje się wiele pamiątek historycznych. Tutaj urodził się król Dawid, niedaleko znajduje się tak zwana „grota mleczna", w której się Matka Boska miała schronić przed ucieczką do Egiptu, grób Racheli, miejsce, gdzie Dawid miał pasać trzody swego ojca, i trzy wielkie stawy Salomona. Mieszkańcy zajmują się przeważnie wyrabianiem różnych artykułów dewocyjnych, które następnie zakupywane są przez pobożnych pielgrzymów. Szczególnej w czasie świątecznym pokup na nie wzrasta ogromnie.

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

KSIĘGA I.

DYM.

6

— Nie może tego powiedzieć, nie znając powodu choroby. Karmela zachorowała, zanim jeszcze wiadomość o śmierci siostry doszła do ich domu. Jakaś straszna scena musiała się rozegrać pomiędzy niemi dwiema, zanim Adela udała się do klubu. Co to była za scena, o tem tylko Karmela może nam powiedzieć i na jej opowiadanie musimy zaczekać. Na szczęście ty masz alibi, które ci w tym razie wyjść może na korzyść. Byłeś na stacyi w czasie, o którym mowa.

— Czy dowiedziono tego?

— Tak jest; kilku ludzi tam ciebie widziało.

— A ten pan, który mi ten list przyniósł... jej list? — trudno mi było wymówić imię Karmeli — czy ten się jeszcze nie pokazał?

— Dotąd nie jeszcze; przynajmniej, o ile mi wiadomo.

— A pierścionek?

— O tem nic nie wiadomo.

— A pielęgniarka? Nic mi o niej nie powiedziałeś — nalegałem teraz, wracając do najważniejszej dla mnie kwestyi. — Czy jest to ktoś, kogo znamy, czy też obca osoba, polecona przez doktora?

— Tem się nie zajmowałem. To w każdym razie osoba kompetentna, samo się przez się rozumie. O to ci też pewnie chodzi?

Czyż ja mu mogłem powiedzieć, że mi bynajmniej nie o to w tej chwili chodziło — że w tym wypadku zależało mi raczej na jej zaletach, jako kobiety, niż na jej kwalifikacyach, jako pielęgniarki? Jeżeli to osoba ciekawa, podejrzliwa, podchwytująca każde słowo i gest każdy majaczącej pacyentki, jakżeż słusznie obawiać się mogłem oczu jej i uszu wtedy, gdy Karmeli pamięć wróci i gdy stanie się wymowniejszą w swojej rozpaczy, niż teraz, gdy wylewa ją w niezrozumiałych okrzykach tylko i w bezustannem powtarzaniu imienia siostry. Tak mnie to niepokoiło, że już gotów byłem zdradzić się z moją obawą — rozmyśliłem się jednak na czas i przemówiłem w te słowa:

— Uważaj na nią, mój drogi, uważaj na nich wszystkich i przynoś mi wszystkie szczegóły i wszystkie wiadomości, tyczące przebiegu choroby tej biednej dziewczyny. Nigdy nie pożałujesz, Karolu, jeżeli tej prośbie mej zadość uczynisz. Czy zamówiłeś kwiaty dla Adeli?

— I owszem, lilie, tak jak poleciłeś.

Po krótkiem milczeniu dorzuciłem jeszcze:

— Nie będzie autopsii, jak piszą dzienniki. Na to, że śmierć nastąpiła przez uduszenie, są dowody aż nazbyt wyraźne i oczywiste.

— To prawda. A jednak ja się dziwię, że oni nie obstają przy autopsii. Były wskazania, że tu i inny czynnik działał także. Te dwa puste kieliszki ze śladami likieru... niewinnego może... ale jednak...

— Już nie mów! Nie zniosę dziś więcej! Jutro może będę silniejszy.

Na twarzy Cliftona odbiło się niezadowolenie; grzecznemi słowy pożegnał mnie jednak i pozostawił w samotności przed długą nocą posępnych rozmyślań.

KSIĘGA II.

Sweetwater działa.

IX.

NIE WIEMY O TAKIM LIŚCIE.

— I wciąż go jeszcze trzymacie?

— Tak, ale coraz mniej jesteśmy pewni. To jeden z tych ludzi, co to korzystnie usposabiają do siebie, choćby się człowiek przed tem bronił. Niezwykle przystojny, skończony gentleman, ma przytem coś w swem obejściu, co przemawia prosto do serca, pomimo uprzedzenia i zastrzeżeń wszelkich. W takim wypadku jak ten, to niebezpieczny czynnik. Przeszkadza człowiekowi spełniać obowiązek. Pan nie ulegnie temu urokowi, pan mu się niezawodnie oprze, ale przynajmniej zrozumie pan obecne położenie moje i to, dlaczego telefonowałem do Nowego Jorku po biegłego detektywa, by nam w tem zadaniu dopomógł. Pragnąłbym synowi mego przyjaciela dać szansę ratunku.

Człowiek, do którego dr. Perry w ten sposób przemawiał, poprawił się w fotelu i odpowiedział spokojnie:

— Ma pan słuszność; i nie dlatego, że to syn pańskiego starego przyjaciela, ładny chłopak i to wszystko — ale dlatego, że każdy człowiek powinien mieć pełną szansę ocalenia, jakiekolwiekby pozory przemawiały przeciw niemu. Osobiście nie lękam się, aby na mój sąd wpłynęły jego powaby. Nazbyt wiele mam do czynienia z pięknymi łotrami. Ale będę dla niego równie sprawiedliwy, jak pan, poprostu dlatego, że aż trudno uwierzyć, żeby człowiek delikatnych uczuć spełnił tak brutalną zbrodnię, a także ponieważ większy kładę nacisk, niż pan, na parę drobniejszych szczegółów, potwierdzających jego ostatnie zeznanie.

— Mów pan dalej, proszę.

— On twierdzi, że jakiś mężczyzna był przed nim w opustoszałym budynku klubowym — jakiś człowiek, którego widział wyjeżdżającego z dziedzińca sankami, w chwili kiedy sam wjeżdżał przeciwległą drogą.

— Ach! — wykrzyknął dr. Perry — miło mi słyszeć to, co pan mówi. Umyślnie starałem się na ten fakt nie kłaść zbytniego nacisku.

— Dlaczego?

— Bo chciałem, by pan samodzielnie wyciągnął swe wnioski. Tak jest, policya znalazła ślady drugiego konia i sanek, które przejechały przez dziedziniec klubu. Padał gęsty śnieg i ślady te niebawem zasypał, ale Hexford i Clarke widzieli je jeszcze i stwierdzili, że ciągnęły się od północnej kępy drzew do górnej bramy.

— To jeszcze nie wszystko. Kuferek, spakowany do drogi, znaleziono w saniach pana Ranelagh, a to dowód, iż opowiadanie o zamierzonej podróży nie było bezpodstawne.

— To prawda. Zatrzymaliśmy ten kuferek. Ale to nie jedyny dowód, że on miał zamiar miasto na jakiś czas opuścić. Pozałatwiał jeszcze oprócz tego odpowiednio różne swoje interesy — co zresztą niczego jeszcze nie dowodzi. Nikt o tem nie wątpi, że zamierzał uciec, wykradając piękną Karmelę; pytanie w tem, czy doznawszy zawodu, zamordował kobietę, która mu w drodze stała?

Starszy sędzia śledczy Fox zastanowił się głęboko i nie spieszył z odpowiedzią. Już się dr. Perry zaczynał niecierpliwić, gdy zauważył spokojnie:

— Sądzę, że żadnego stanowczego wniosku wyciągnąć się nie da ze stanu, w jakim znajdowało się ciało, w chwili, gdy nasi ludzie tam weszli. Musiało być jeszcze ciepłe?

— Tak, ale tosamo byłoby, gdyby śmierć nastąpiła o kilka minut wcześniej, niż przypuszczają. Brak tu szczegółowych danych. Przejdźmy do czegoś uchwytniejszego.

— Bardzo dobrze. Oto zaraz. Z sześciu butelek z alkoholem, wykradzionych z klubowej piwnicy, cztery nie otworzone znaleziono na kuchennym stole. Gdzież się podziały pozostałe dwie?

— Ot właśnie! Oto pytanie, które sobie stawiałem od chwili, gdy rozpytywałem rządcę i gdy się dowiedziałem, iż gotów jest przysiądz na to, że spis jego jest dokładny i że te dwie butelki zniknęły. Ranelagh ich nie wypróżnił, gdyż w takim razie gdzieś koło domu byłyby się musiały te butelki znaleść. A w takim razie kto?

— Nikt w obrębie samego budynku. Otworzono je i wypróżniono gdzieindziej. Oto trop — i jeżeli ten człowiek, którego pan sprowadziłeś z Nowego Jorku jest coś wart, to ma przed sobą wyraźne zadanie.

— Trudne zadanie dla obcego — i jeszcze dla takiego obcego! Powierzchowność mało ujmująca... Ale dobre ma oko i mam wrażenie, że da sobie radę. Żadnej drażniącej pewności siebie — może nie dosyć rozmachu. Czy chciałby go pan zobaczyć?

— Za chwilę. Muszę to sobie wyjaśnić w głowie, jak to tam z temi butelkami być mogło... Tylko nałogowy pijak mógł wyciągnąć te butelki z zimnej, ciemnej piwnicy.

— Tak — i to nadto znawca w tym względzie. Dwie brakujące butelki zawierały najprzedniejszy gatunek z całego zapasu. I schowane były umyślnie w głębi, za innemi butelkami. Ale ktoś wyciągnął je stamtąd i wyniósł, jak pan powiada, i to ktoś, co się widocznie dobrze znał na trunkach.

— Co było w tych czterech butelkach, znalezionych na kuchennym stole?

— Sherry, whisky i rum. Dwie butelki rumu, jedna sherry i jedna whisky.

— Złodziej zamierzał wynieść wszystkie, tylko, że czasu mu widocznie zabrakło.

— Elegancki pan, ten złodziej! Pospolity złodziej, taki, jakich zwykle widujemy, nie byłby wybrał tych właśnie butelek. I otóż znów mamy! Sprzeczności na każdym kroku.

— Nie dajmy się zrażać sprzecznościom, ale idźmy dalej za tropem... Musimy odszukać te butelki, czy pełne, czy puste. Zna pan ich etykiety?

— Znam. Znam też i kształt i kolor butelek — i kształt i kolor miały specyalny.

— To dobrze! A teraz pokaż mi pan swojego detektywa.

Sweetwater jednak nie został jeszcze przyzwany. Właśnie w chwili, gdy dr. Perry miał nacisnąć dzwonek, otworzono drzwi i wszedł Mr. Clifton. Dobrze znany tym panom i cieszący się ich uznaniem, bez trudności przedłożył im swój interes i swoją prośbę.

— Jestem tutaj w interesie Elwooda Ranelagha — przemówił. — Elwood Ranelagh przyznaje i ja również — że w danych warunkach zaaresztowanie jego mogło być pozorami winy uzasadnionem, ale nie jest uzasadnionem dalsze przytrzymywanie go w areszcie. On nie stara się uniewinnić z błędów, które popełnił z różnych win, do których się poczuwa.

Najlepsi nawet jego przyjaciele muszą go potępić za nieszczerość i bałamutne, lekkomyślne postępowanie jego w stosunku do Miss Cumberland; jednakże on przysięga, że ręki do gwałtownej śmierci jej nie przyłożył, i w to ja mu wierzę, nie tylko p r z y j m u j ę t o, ale i w i e r z ę. Na tej zasadzie opieram akcyę moją w jego sprawie i przyszedłem prosić panów o pomoc w rozjaśnieniu dwóch okoliczności, które także na wasze, panowie, przekonanie o winie jego wpłynąć mogą.

— Mnie, jako obrońcy jego, udało się wyciągnąć z niego parę szczegółów, które na razie zataił przed policyą. Że od samego początku skąpym był w zeznaniach, to przeciw niemu nie przemawia, raczej przeciwnie, zważywszy, czem dla niego były obie damy, w tragedyę tę zamieszane. Pomimo to zwierzył mi okoliczność, która w zamieszaniu, wynikającem z nagłego zasłabnięcia Miss Karmeli Cumberland, uszła z łatwością uwagi rodziny — i policyi naturalnie także.

Odchrząknął. Dr. Perry i Mr. Fox czekali z zaciekawieniem.

— Pierścionka zaręczynowego nie było na palcu Miss Cumberland, gdy Ranelagh znalazł ją — jak twierdzi — już bez życia. Pierścionek ten miała na palcu jeszcze przy obiedzie — oryginalny pierścionek, który ja nieraz widziałem i który, gdyby było potrzeba, mógłbym dokładnie opisać.

— Mogła go zdjąć przedtem! — zauważył Mr. Fox.

— Jeżeli go zdjęła, zanim się wybrała do klubu, łatwo go można będzie odnaleść. Ale jeżeli nie, jakiż to trop dla odkrycia nieznanego mordercy! Aż dotąd pan Ranelagh przypuszczał, że otrzyma ten pierścionek w liście, pisanym przez nią, zanim wyszła z domu. Ale takiego listu nie otrzymał, więc przypuszcza, że może przejęliście go panowie?

— Nic nam o tego rodzaju liście nie wiadomo. Żaden taki list do jego mieszkania nie nadszedł — odpowiedział sędzia śledczy.

— I ja to przypuszczałem. Należałoby zatem dojść, co się z tym pierścionkiem stało i gdzie on się znajdować może. Przepraszam, że pozwalam sobie zwrócić uwagę panów na to. Jako prawnemu doradcy pana Ranelagha bardzo mi na tym pierścionku zależy.

— Bardzo dziękujemy panu za tę uwagę — odpowiedział Mr. Fox — Jednakże niech pan pamięta, że osłabia jej znaczenie wzgląd, że to sam oskarżony ją podaje.

— To prawda; ale dopiero po godzinie usilnej nad nim pracy, naprowadziłem pana Ranelagha na to, by o tem mówił. Poza stanowiskiem, jakie zajął, kryje się jakaś tajemnica, której ja przynajmniej aż dotąd nie zgłębiłem. Czy pan tego nie zauważył, panie sędzio Perry?

— A więc on ma inną jeszcze tajemnicę, oprócz tej, która ściągnęła na niego uwięzienie, jako na podejrzanego o morderstwo? — podchwycił Mr. Fox.

— Tak jest — gdyż zresztą dlaczego zacinałby się tak przy najprostszych pytaniach? Mam swoje domysły, jakiej to natury może być tajemnica, ale nie po to przyszedłem, żeby wyrażać tu moje domysły. Przyszedłem tu celem przedstawienia faktów, które się dadzą zużytkować.

— W interesie pańskiego klienta?

— Ale zarazem i w interesie sprawiedliwości.

— Być może. Będziemy szukali tego pierścionka, panie Clifton.

— Tymczasem zaś może zechcecie panowie spojrzeć na te szczątki kartki, którą, jak Mr. Ranelagh twierdzi, otrzymał od Miss Karmeli Cumberland, w chwili, gdy na peronie stacyi oczekiwał jej przybycia.

I wyjąwszy z kieszeni kopertę, Mr. Clifton wy-

ciągnął z niej dwa małe kawałki zmiętego i zbrukanego papieru, z których jeden był połową przedartej koperty z częścią adresu:

Mr. Elwood Ra...

Wskazując na to, zauważył:

— Elwood, to imię rzadkie, trudno więc wątpić, do kogo to pisane.

Na drugim kawałku, także ołówkiem i tą samą ręką pisanych, było parę wyrazów bez związku, ale jednym z tych wyrazów było imię *Adela*.

— Półtorej godziny spędziłem na dziedzińcach, przyległych do stacyi, zanim znalazłem te dwa kawałki — oświadczył młody prawnik z powagą i prostotą.

Dwaj starsi spojrzeli na niego życzliwie.

— Jeden z nich tkwił pod stosem nagromadzonych do ładowania towarów, drugi znalazłem na kupie odgarniętych na bok śmieci. Przedkładam to na poparcie oświadczenia pana Ranelagh, który twierdzi, że wyraz „Przybywaj!", użyty w spalonym częściowo liście, znalezionym w klubie, pisany był do Miss Karmeli Cumberland, a nie do Adeli i że miejscem spotkania miał być peron stacyjny, nie zaś nieszczęsny dom „pod Szumiącemi Sosnami".

— Czy pan zna pismo Miss Karmeli Cumberland?

— Ja nie, ale w mieście tylu ludzi je zna. Wierzę, że te słowa pisała Karmela Cumberland.

Mr. Fox złożył oba kawałeczki z powrotem do koperty i odłożył je na bok starannie.

— I tym razem jesteśmy panu wielce zobowiązani — rzekł.

— Zobowiążecie mnie panowie nawzajem — szybko odpowiedział młody prawnik — jeżeli odkryjecie, kim był ten mężczyzna w czapce dżokejce i w płaszczu z bardzo wysokim kołnierzem, który wyjechał z dziedzińca klubu właśnie w chwili, gdy pan Ranelagh zajeżdżał. Mnie tam nie łatwo dochodzić tego i wcale nie mam ochoty podejmować się tego zadania.

Starał się powiedzieć to zupełnie naturalnie, łatwo i poprostu; ale jakoś mu się nie powiodło, szybko bowiem zdziwiony i pytający wzrok dr. Perrego spoczął na jego twarzy.

— I owszem, postaramy się o to — przyrzekł wyższy sędzia śledczy.

— O nic więcej prosić nie mogę — odpowiedział Karol Clifton, powstając, by się pożegnać. — Skoro Ranelagh stanie oko w oko z tym człowiekiem, wtedy dopiero rozwiążą mu się usta. Zanim panowie skończycie z moim klientem, przekonacie się, że o wiele więcej jest wart, niż dziś sądzicie.

Mr. Fox, wyższy sędzia śledczy, uśmiechnął się, poczytując te słowa za zwykły wybuch zapału młodzieńczego adwokata; dr. Perry jednak, który znał dobrze swój okręg i jego mieszkańców, spuścił oczy w zamyśleniu i nie podniósł ich, dopóki młody człowiek nie wyszedł z pokoju, a miejsca jego nie zajął inny, bardzo różny wyglądem i zachowaniem. Wtedy, jak gdyby budząc się z zadumy, przedstawił starszemu sędziemu nowoprzybyłego pana Karola Sweetwatera, detektywa z departamentu policyi w Nowym Yorku.

Karol Sweetwater nieładny był, brzydki nawet; tak brzydki, że nawet dowcipny, żartobliwy uśmiech, częsty gość na jego twarzy, nie mógł wzbudzić sympatyi do niego w tych, co nie znali cennych jego zalet. Cofnięta broda i nazbyt wydatny nos nie robiły korzystnego wrażenia na tych, co nie wiedzieli, jakie ma pogodne, skromne i miłe usposobienie. To też starszy sędzia śledczy, przyjrzawszy mu się z nieukrywaną niełaską, zapytał nagle:

— Przywiózł pan ze sobą jakieś świadectwa, mam nadzieję?

— Mam tutaj list polecający z departamentu — rzekł. — Mr. Gryce pisał ten list — dodał z odrobiną dumy.

— List jest nader pochlebny — spiesznie zauważył dr. Perry, przeglądnąwszy go. — Sweetwater jest nam polecony, jako człowiek bystry, rozważny i taktowny.

— Bardzo dobrze. Do interesu zatem. Im prędzej działać będziemy w tym nowym kierunku, tem lepiej. Panie Sweetwater, mamy pewne wątpliwości, czy człowiek, którego mamy w ręku, jest tym, którego szukamy. Ale najpierw, co pan wie o całej tej sprawie?

— To wszystko, co o tem pisały gazety.

— I więcej nic?

— Bardzo mało. Nie byłem w mieście dłużej, nad godzinę.

— Czy pana tu znają?

— Sądzę, że nie. Pierwszy raz tu jestem.

— A więc pan nie zna tych ludzi, tak jak i oni pana. No tak, to ma swoje słabe strony.

— Ale i swoje dobre także, jeżeli mi wolno wypowiedzieć moje zdanie. Nie mam uprzedzeń, nie mam z góry powziętych podejrzeń, z którymi bym musiał walczyć. Mogę brać ludzi takimi, jakimi ich widzę; a jeżeli trzeba odkryć głęboko ukrytą tajemnicę rodzinną, nic człowiekowi nie przeszkadza iść za wrodzonym instynktem. To znaczy, żadne sympatye, żadne skłanianie się ku tym albo tamtym z przyczyn uczuciowych, z zawodową robotą nie mających nic wspólnego.



Kim pan jesteś — zapytała w końcu.

Oko starszego sędziego śledczego Foxa zwróciło się w stronę kolegi, lecz nie spotkało się z jego oczyma. Dr. Perry uwagę swoją znów skierował na stół i jeżeli nie wprost zmieszany, wydawał się jakiś nieswój.

Starszy sędzia potarł z namysłem brodę i zwróciwszy się do detektywa, zaczął mu jasnemi a przejrzystemi słowy dopełniać obrazu zaszłych wydarzeń i charakterystyki w tę tragedyę zamieszanych osób.

Sweetwater wysłuchał wszystkiego z błyszczącym wzrokiem, a gdy mu sędzia wyliczył różne poszlaki, wskazujące na to, że był ktoś trzeci, nieznany dotąd, na miejscu zbrodni, zerwał się raźno i oświadczywszy, że to niezwykle obiecująca sprawa, prosił, by mu pozwolono samemu rozpatrzeć się w domu klubowym. Potem już będzie gotów puścić się w pogoń za tym mężczyzną w czapce dżokejce i płaszczu z wysokim kołnierzem, tym lubownikiem gorących trunków, który najlepsze butelki z klubowej piwnicy wyciągnął.

— To łotr skończony, pan, czy prosty człowiek, jeżeli mógł to zrobić, bezpośrednio po uduszeniu tej biednej kobiety. Jeżeli wogóle istnieje, jeżeli to wszystko nie jest wymysłem przyłapanego Ranelagh'a, nie trudno go będzie znaleść. Co panowie myślą? Nie powinnoby być trudno odszukać go?...

— My jego nie znaleźliśmy — odpowiedział z naciskiem Mr. Fox.

— A więc mam wolne pole przed sobą — uśmiechnął się Sweetwater. — Życzcie mi panowie szczęścia. Idę na oślep, ale ja to lubię!

X.

MOGĘ PANU POMÓDZ!

Sweetwater wraz z Hexfordem przez dobre pół godziny oglądał dom klubowy wewnątrz, a potem dokładnie rozejrzał się po jego otoczeniu.

Wyszedłszy północną bramą, obejrzał się raz jeszcze na długi, niski budynek, z rzędem wysokich kominów i zapuszczonych okien, wpół ukryty pod cieniem starych, szumiących sosen.

— Świadkowie wszystkiego, co się tu działo — westchnął młody detektyw, patrząc na chwiejące się gałęzie, to podnoszące się, to klonące w dół przed jednem z okien. Świadkowie wszystkiego. Zaglądały do tego pokoju na długo przedtem, nim Clarke zapuścił tam to spojrzenie, które nieszczęśliwego Ranelagha zgubiło. Gdybym ja wiedział to, co one wiedzą, nie szeptałbym, ale krzyczał!

I tak dumając, mrucząc coś pod nosem, dreptał, małoznacząca figurka, ku miastu, jak szara plama na jednostajnej bieli zimowego krajobrazu.

Lecz gdyby więzień, który pośrednio wyprawił tego młodego detektywa w jego obecną drogę, gdyby ten więzień mógł odgadnąć jego myśli i zmierzyć siłę jego postanowienia — możeby się zatroskał, widząc tego obecnego przybysza na drodze, na którą sam pchnął go swojemi, starannie obmyślanemi półzeznaniami.

Jak już przedtem wspomnieliśmy, droga to była dalsza do miasta i mało uczęszczana zimą. W zwykłych warunkach spotkałby na niej Sweetwater zaledwie kilka wózków lub sanek, na przestrzeni pomiędzy klubem a ulicami miasta. Dziś jednak pełno się spotykało wózków, sanek, ekwipaży, wiodących różnych ludzi, ciekawych obejrzeć miejsce, gdzie popełniono zagadkową zbrodnię.

Sweetwater przyglądał się im wszystkim, twarzom mężczyzn, ruchom kobiet; właściwe jednak zainteresowanie obudziło się w nim dopiero, gdy doszedł do tej części drogi, gdzie zaczynał się rząd rozsianych domów ludzkich.

Wtedy to ożywił się, stał się ruchliwy, obrotny, wymowny.

Wstępował do domów, rozmawiał z ludźmi. Choć oczywiście człowiek trzeźwy, wstępował do zajazdów, zasiadywał się nad kieliszkiem, zachęcając do gawędy każdego, kto się do tego okazał skłonnym. Gawędziarz był z natury i umiał mówić o każdym temacie, przy jednym jednak tylko błyszczały mu oczy. Sam go zresztą nigdy nie wszczynał; nie potrzebował tego. Zawsze znalazł się ktoś, kto rad dotknął najciekawszej kwestyi, a gdy się ją raz poruszyło, nie pozwalał upaść rozmowie, dopóki wszyscy obecni nie dodali swoich uwag i sądów do ogólnego mianownika.

Zdawałoby się, że to była prosta strata czasu, gdyż nikt właściwie nie miał do powiedzenia czegoś, czegoby warto posłuchać. Sweetwater jednakże nie okazywał niecierpliwości i w dalszym ciągu słuchał i pytał każdego, wciąż pełen werwy i pełen nadziei.

Już daleko poza sobą zostawił polną drogę i błądził teraz wśród sieci chat, domków, sklepów i uliczek, zaznaczających w tej stronie początek miasta — gdy bystre jego a doświadczone oko padło na kobietę, stojącą z odkrytą głową w otwartych drzwiach i wyglądającą niespokojnie na ulicę, jak gdyby na kogoś czekała.

Spodobał mu się wyraz i porządny wygląd tej kobiety; spodobała mu się czystość domku i schludna prostota jej ubrania. Chciał ją zagadnąć, lecz jakoś nie śmiał, czując, że zwykłą swą gadatliwością tutaj daleko nie zajdzie.

Na szczęście sam los mu dopomógł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Echa miłosnej tragedyi.

Potworna zbrodnia, której ofiarą padła we Lwowie artystka tamtejszego teatru miejskiego, śp. Antonina Ogińska, wywołała w całem mieście potężne wrażenie. Zwróciła bowiem uwagę na istną *moral*



Echa miłosnej tragedyi: Kazimierz Lewicki, morderca śp. Antoniny Ogińskiej.

insanity, rozwielmożniającą się w coraz silniejszym stopniu wśród młodzieży. Zamiast pracować nad własnem wykształceniem, zamiast dążyć do uszlachetnienia swojego charakteru, myśleć o przyszłości własnej i o przyszłości społeczeństwa, bardzo wielu młodych ludzi, zwłaszcza ze sfer zamożnych, traci pieniądze i zdrowie na hulankach i zabawach, które wpływają niesłychanie ujemnie na ich sposób myślenia, na ich zasady i dążenia.

Jednym z takich właśnie zepsutych młodzieńców był morderca śp. Ogińskiej, Kazimierz Lewicki. Zapoznawszy się z nią dość już dawno i zapłonąwszy ku niej niezdrową namiętnością, starał się wszelkimi sposobami opanować umysł tej kobiety, choć wiedział dobrze, że jest mężatką, że więc popełnia w ten sposób czyn wysoce niemoralny i niehonorowy. Stawszy się panem sytuacyi, wymuszał na nieszczęsnej ofierze powolność dla swych żądań. A nie było w nich z pewnością nic szczytnego, nic idealnego, prócz brzydkich namiętności i chuci.

Chcąc opanowaną przez się kobietę przywiązać jak najsilniej do siebie, wbrew zresztą jej woli, usiłował ją nakłonić do rozejścia się z mężem, obiecując jej następnie ożenek. Śp. Ogińska unikała w ostatnich czasach natarczywego adonisa, uciekała przed nim i nie taiła się wcale z zamiarem zerwania znajomości z nim. Ten jednak jeszcze gwałtowniej ją atakował, uciekając się niejednokrotnie do gróźb bardzo poważnych.

W ten właśnie sposób, grożąc śp. Ogińskiej zabójstwem i odebraniem sobie życia, skłonił ją do ostatnich, tak tragicznie zakończonych odwiedzin w jego mieszkaniu przy ul. Zimorowicza.

Sekcya zwłok śp. Ogińskiej wykazała, że ofiara mordu, mimo otrzymania trzech postrzałów, żyła dłuższy czas, gdyż żadna z owych ran nie była śmiertelna, nie pozbawiła jej też przytomności. Bezsumienny zbrodniarz jednak — czy też zwyrodniały moralnie szaleniec — nie pomyślał ani przez chwilę o wezwaniu pomocy lekarskiej, lecz zamknąwszy na klucz mieszkanie, udał się do swych braci, aby przy ich pomocy zastanowić się nad ratunkiem swej własnej osoby. A także bracia mordercy, zamiast zawiadomić natychmiast pogotowie ratunkowe o zajściu i zażądać jego pomocy na wypadek, gdyby ofiara zbrodni żyła jeszcze, myśleli głównie o bezpieczeństwie jego osoby. Stwierdzenie tych okoliczności wywołało również wśród mieszkańców Lwowa powszechne oburzenie, kto wie bowiem, czy nie byłoby się dało uratować życia śp. Ogińskiej, gdyby pomoc lekarska była wczas nadeszła.

Kazimierz Lewicki, którego obrony podjął się adwokat dr. Pieracki, b. prokurator, przebywa w więzieniu śledczem sądu karnego. Ze względu na pewne wypadki w dzieciństwie i latach młodzieńczych, wskazujące, iż stan umysłu jego nie jest normalny, ma on być poddany pod obserwacyę psychiatrów.



Rewolta marynarzy brazylijskich: Przywódca buntowników Joao Candido, w otoczeniu swego „sztabu".

Rewolta marynarzy brazylijskich.

Dwukrotnie wybuchała w ostatnich tygodniach rewolta wśród załogi floty brazylijskiej. Marynarze tamtejsi byli niezadowoleni z ostrej bardzo dyscypliny i surowego traktowania przez przełożonych, a gdy żądania ich w kierunku poprawy stosunków spotkały się z odmową, podnieśli jawny bunt.

Bunt ten nie był jednak zbyt groźny. Wprawdzie przyłączyła się doń załoga trzech największych statków wojennych, a to Minas Geraes, Sao Paulo i Bahia, ale widoczne było, że jakiekolwiek ustępstwo ze strony rządu wystarczy, by przywrócić porządek wśród zrewoltowanych marynarzy.

Na czele buntu stał podoficer Joao Candido, obrany admirałem całej floty brazylijskiej, choć poza pewnym zasobem sprytu i dzielności osobistej nie miał po temu żadnych warunków.

Zarówno pierwszy jak drugi wybuch buntu załagodzono w sposób ugodowy, przez udzielenie amnestyi buntownikom i przez przyznanie im w znacznej części żądanych ulg.

Z życia Indyan w Ameryce południowej.

Pierwotni mieszkańcy Ameryki, nazwani Indyanami przez odkrywców Nowego Swiata, mniemających, iż odkryli ostatni kraniec Indyi, stanowią odrębną rasę, nazwaną od ich cery czerwoną lub też amerykańską. Pod względem fizycznym różnią się oni od innych ras ciemno miedzianym kolorem skóry,



Rewolta marynarzy brazylijskich: Pertraktacye przedstawicieli rządu brazylijskiego ze zbuntowanymi marynarzami na pokładzie statku Sao Paulo.

gładkimi, czarnymi włosami i czołem ku tyłowi przytłoczonem. Jakkolwiek charakterystyczne te cechy u pojedyńczych plemion różnym ulegają modyfikacyom, jednakże wszystkie szczepy, od Kanady począwszy aż do Ziemi ognistej, stanowią ten sam typ. Z oblicza czerwonoskórego Indyanina, czy on jest mieszkańcem północy, czy południa, przemawia wszędzie obojętna na wszystko surowość; im dziksze są plemiona, tem trwożliwszy i ruchliwszy wzrok ich, tem nędzniejszy wyraz fizyognomii. Zupełne prawie odrętwienie zdaje się być dla Indyanina stanem najpożądańszym; u plemion, żyjących jeszcze w niewoli, miejsce surowości i dzikości zastępuje pewien rodzaj melancholii.

Po odkryciu Ameryki bulla papieska musiała w r. 1535 rozstrzygnąć wątpliwość, czy Indyan można zaliczać do rodu ludzkiego. Jakkolwiek wypadło to na ich korzyść, w każdym razie należy stwierdzić, że stoją oni pod względem duchowym daleko niżej od rasy kaukaskiej, władza poznawania jest u nich słabsza i powolniejsza, fantazya tępsza, umysł mniej wrażliwy. Indyanin żyje tylko teraźniejszością, o przyszłości nie myśli, obojętny jest na śmierć, znosi wszystko bez skargi. Tem tłómaczy się także jego ociężałość i lenistwo, jego życie bez troski o jutro i polepszenie materyalnego i moralnego bytu. Jeżeli jednak myśl wycierpianych krzywd raz opanuje Indyanina, wówczas używa on wszystkich możliwych podstępów i wybiegów, dopóki nie nasyci swej zemsty. Z tej to właśnie mściwości rodzą się u niektórych plemion amerykańskich niesłychane okrucieństwa, długie wojny i straszny zwyczaj ludożerstwa.

Jak z jednej strony brakuje Indyanom głębszego rozumu, tak znów z drugiej niedostaje im żywej wyobraźni, a dowodem tego ich podania i nuty, ich pojęcia religijne i poezya. Plemiona północne stoją w tym względzie nieco wyżej od południowych.

Indyanin nie jest w stanie przyswoić sobie pojęć oderwanych, stąd wypływa jego obojętność względem wyższych nauk religijnych i dzikość jego poglądów. Język ich należy do tak zwanych języków syntetycznych, które z trudnością rozczłonkowują pojedyńcze pojęcia, częstokroć dwuznaczne i niejasne, a tem samem świadczące o bardzo powolnej pracy ducha.

Podział naturalny plemion indyańskich dokonany być może jedynie na podstawie ich języków, których rozróżniamy pięć grup: północno-atlantycką, północno-pacyficzną, centralną, południowo-pacyficzną i południowo-atlantycką.

Prawie wszyscy Indyanie obok polowania i rybołostwa zajmują się i rolnictwem; ze zwierząt domowych posiadają tylko psa. W czasie odkrycia Ameryki kultura ich przypadała na okres kamienia szlifowanego, umieli też obrabiać miedź, bronz, srebro i złoto. Broń ich była z kamieni, kości i drzewa, obecnie używają siekier żelaznych i strzelb.



Z życia Indyan w Ameryce południowej: Grupa Indyan z Boliwii.

Podstawą życia społecznego jest u nich ród, oznaczony zazwyczaj jakimś symbolem ze świata zwierzęcego, kilka rodów składa plemię, zarządzane przez radę, która obiera swego naczelnika. Dawne obyczaje giną wszakże wskutek zetknięcia z białymi, przeważna ich część nawróconą została na chrześcijaństwo.

Wskutek ciągłych prześladowań liczba Indyan w Ameryce północnej znacznie zmalała, a niektóre pokolenia wymarły już zupełnie, w południowej natomiast utrzymują się dobrze. Ogółem liczą ich około dwieścia milionów. Do zagłady Indyan przyczynia się najbardziej wódka i choroby płciowe.

Ostatnie katastrofy awiatyczne.

Rok 1910, który właśnie dobiegł końca, odegrał w dziejach rozwoju lotnictwa, w dziejach walki o zdobycie powietrza, niesłychanie doniosłą rolę. Miesiąc po miesiącu, tydzień po tygodniu, dzień po dniu przychodziły z rozmaitych stron wiadomości o ciągłych tryumfach, o coraz nowych zdobyczach w dziedzinie awiatyki. Konstruktorzy aeroplanów



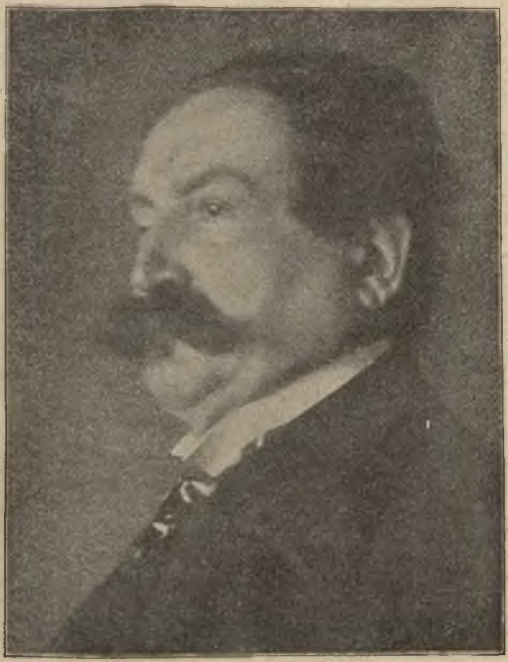
Z życia Indyan w Ameryce południowej: Kobieta ze szczepu Chané ze swem dziecięciem.



Z życia Indyan w Ameryce południowej: Kobiety ze szczepu Chané, tłoczące kukurudzę.

tworzyli nowe modele aparatów do latania, coraz doskonalsze, coraz silniejsze, a dzielni piloci dokazywali na tych maszynach istnych cudów odwagi i zręczności. To też osiągnięte przez nich w ostatnich tygodniach ubiegłego roku rezultaty, zdumiewają świat cały.

Niestety nadzwyczajne te tryumfy lotnictwa okupione zostały w tym ostatnim zwłaszcza roku



Zgon dyrektora teatru w Pradze: Dyrektor Angelo Neumann.

bardzo licznemi ofiarami. Nie było niemal tygodnia, by któryś z pomiędzy wybitnych, śmiałych żeglarzy napowietrznych nie uległ katastrofie, tracąc w niej życie, lub co najmniej ciężkie odnosząc kalectwo.

A mimo tych mnóstwa ofiar, mimo ogromnie częstych wypadków, nie brakło coraz nowych pionierów lotnictwa, którzy nie zważając na grożące im każdej chwili niebezpieczeństwo, próbowali z bohaterską odwagą sił swych w walce z powietrzem. Zjawiali się więc nowi piloci i nowe padały ofiary.

Jedną z ostatnich jest angielski awiator Cecil Grace, który przed kilku dniami postanowił przelecieć ponad kanałem La Manche, na dwupłaszczyznowcu angielskiego systemu, ubiegając się o nagrodę, przeznaczoną właśnie dla angielskiego pilota, sterującego maszyną do latania, wykonaną w Anglii.

Grace wzniósł się w powietrze pod miastem Dover, przebył szczęśliwie oznaczoną przestrzeń i wylądował pod Calais we Francyi. Wnet potem wzleciał ponownie w powietrze, aby powrócić do Dovru. W drodze powrotnej spotkała dzielnego awiatora katastrofa, której bliższe szczegóły nie są jednak znane. Zdaje się, że jakiś błąd w aparacie spowodował upadek aeroplanu w morze wraz z pilotem, który utonął, grono przyjaciół bowiem Grace'a nadarmo wyczekiwało powrotu jego w Dovrze. Wszczęte poszukiwania wydały rezultat smutny bardzo, znaleziono mianowicie na falach morza szczątki aeroplanu, po Grace'u jednak ślad zaginął. Pochłonęły go niewątpliwie fale morskie w chwili, kiedy był już blizko wybrzeża angielskiego, gdzie czekał go tryumf i wspaniała nagroda.

Jeszcze straszniejsza katastrofa wydarzyła się prawie równocześnie w Issy les Moulineaux pod Paryżem.

W ostatnich dniach grudnia ubiegłego roku wzniósł się tam znany awiator Laffon, naczelny pilot firmy Antoinette, wraz z pasażerem, młodym hiszpańskim sportsmanem Paulatem, na latawcu jednopłaszczyznowym, systemu Antoinette, i zaraz po osiągnięciu wysokości 100 metrów, spadł z ogromną siłą na ziemię. Oczywista rzecz, że obaj uczestnicy tej jazdy napowietrznej ponieśli śmierć pod gruzami rozbitego aeroplanu.

Zdjęcia, przedstawiające widok zdruzgotanej maszyny do latania w chwilę po wypadku, oraz obu awiatorów na chwilę przed rozpoczęciem śmiertelnej jazdy, zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Nadto zamieszczamy zdjęcie Cecila Grace'a na aeroplanie.

Zgon dyrektora teatru w Pradze.

Jeden z najwybitniejszych znawców muzyki Wagnera i jej gorący wielbiciel, zasłużony niesłychanie około rozkrzewiania kultu wagnerowskiego nietylko w Niemczech ale w całym świecie, Angelo Neumann, ostatnio dyrektor niemieckiego teatru w Pradze, zmarł niedawno nagle na udar sercowy.

Dyrektor Neumann rozpoczął karyerę teatralną



Z życia Indyan w Ameryce południowej: Sędziwy Indyanin boliwijski.

jako śpiewak operowy, a rozpoczął ją w teatrze krakowskim w 1859 r., poczem śpiewał kolejno w Preszburgu, Gdańsku — a następnie w operze nadwornej w Wiedniu. Utraciwszy głos, poświęcił się pracy administracyjnej w teatrze i został w Lipsku dyrektorem opery. Na stanowisku tem zdobył wielki rozgłos, jako nadzwyczaj energiczny, dzielny i pomysłowy kierownik teatru.

Później założył wielki teatr wędrowny imienia



Ostatnie katastrofy awiatyczne: Pilot firmy Antoinette, Laffon i jego towarzysz hiszpański awiator Paulat, którzy zginęli wspólnie spadłszy z aeroplanem ze znacznej wysokości.



Ostatnie katastrofy awiatyczne: Cecil Grace, aeronauta angielski, na swym aeroplanem przed śmiertelną jazdą napowietrzną.

Wagnera i objechał z nim Niemcy, Belgię, Holandyę, Szwajcaryę i północne Włochy, zdobywając wszędzie wspaniałem wystawieniem oper Wagnera, w szczególności jego tetralogii Nibelungów, olbrzymie powodzenie artystyczne.

Z kolei objął Neumann dyrekcyę teatrów w Bremie, a 1895 r. osiadł na stałe w Pradze, jako kierownik niemieckiego teatru, na którem to stanowisku pracował z wielkiem powodzeniem aż do chwili nagłego zgonu.

Za rządów dyr. Neumanna stanął niemiecki teatr w Pradze na bardzo wysokim poziomie artystycznym. Kultywował z wielkim pietyzmem muzykę nowoczesną, przedewszystkiem muzykę wagnerowską a *ensambl* operowy tego teatru cieszył się opinią bardzo zaszczytną.

W stosunku do Polaków odnosił się zmarły niedawno dyr. Neumann z wielką sympatyą i cenił wysoką muzykalność naszego narodu. Niejednokrotnie też angażował śpiewaków polskich dla swego teatru.

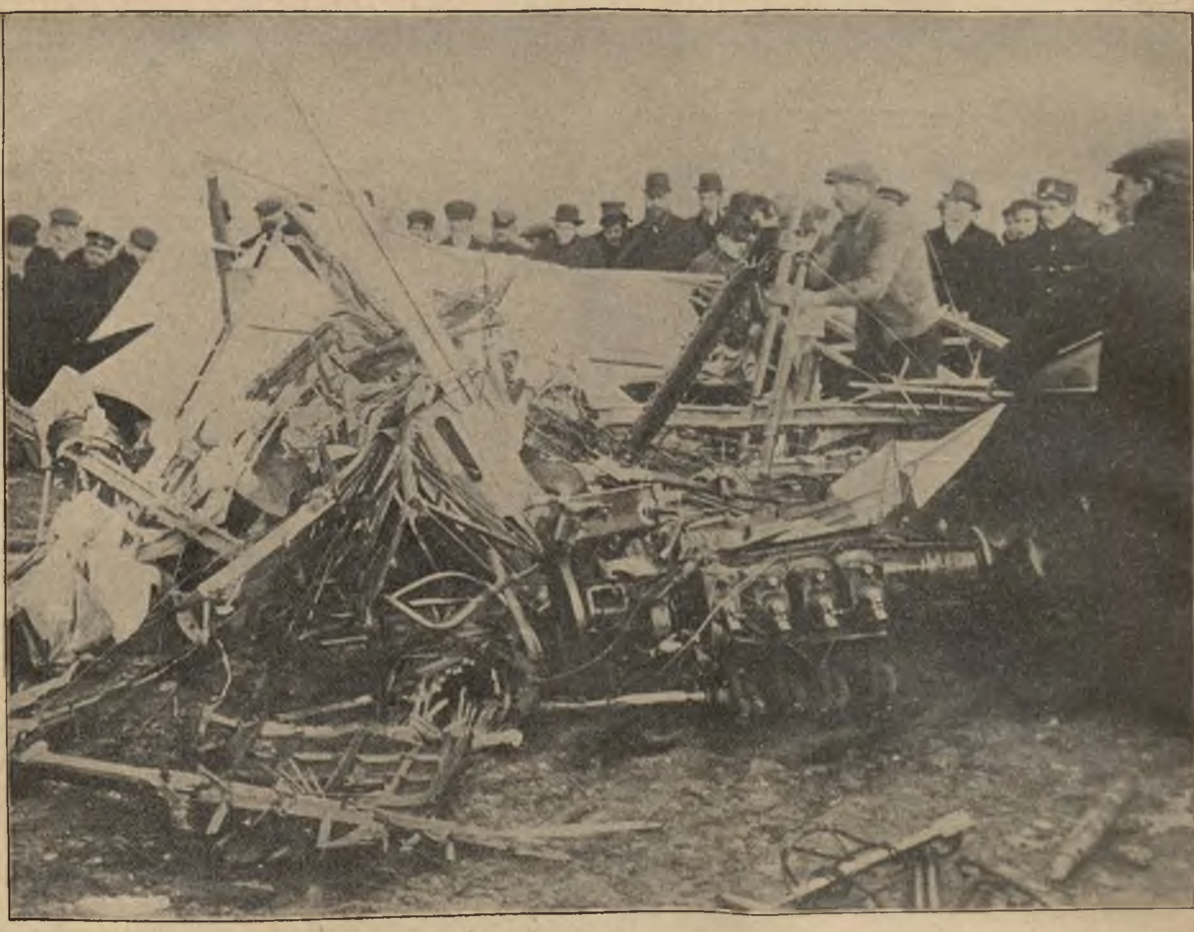
Dyrektor Neumann zmarł przeżywszy lat 73.

Fałszywy doktor filozofii.

Niebywałą sensacyę wywołała we Lwowie wiadomość, iż znany w szerokich kołach nadpełtwiańskiej stolicy brat Kazimierza Lewickiego, mordercy śp. Ogińskiej - Szenderowiczowej, doktor Stanisław Lewicki niema wcale prawa do używania tytułu doktorskiego!

Spalony trzykrotnie przy egzaminie dojrzałości, nie wiadomo na jakiej podstawie zapisał się wreszcie na lwowski uniwersytet, jako słuchacz filozofii, nie brał jednak żadnego udziału w pracy. Nie przeszkodziło mu to jednak do doktoryzowania się z zakresu geografii, a choć nie posiadał świadectwa maturalnego, uzyskał przy pomocy ówczesnego rektora dra Gryzieckiego, który z rodziną Lewickich żył w bliskich stosunkach, pozwolenie na odbycie promocyi.

Jako doktor filozofii wyjechał na dalsze studya za granicę i uzyskał tam drugi doktorat nauk społecznych, po powrocie zaś do kraju rozpoczął starania o habilitacyę na lwowskim uniwersytecie. W tym celu wniósł na ręce senatu akademickiego podanie, do którego dołączył swe dokumenty i świadectwa gimnazyalne, między któremi znalazło się i świadectwo ze złożonego z pomyślnym skutkiem egzaminu dojrzałości. Przy bliższem i dokładniejszem badaniu pokazało się jednak, że jest ono w całości sfałszowane i podrobione. Dzięki usilnym staraniom rodziny udało się na razie sprawę zatuszować, nie dowiedziała się o niej prokuratorya i pan doktor byłby wiódł dalej spokojny żywot „dla dobra nauki", gdyby nie fatalny pech, że właśnie jego rodzony braciszek zastrzelił śp. Ogińską-Szenderowiczową, a w ślad za tem przypomniały dzienniki lwowskie opinii publicznej i pana Stanisława, jedne wspominając o tem tylko ogólnikowo, inne przytaczając pełne imię i nazwisko.



Ostatnie katastrofy awiatyczne: Szczątki rozbitego aeroplanu Laffona, systemu „Antoinette".



Pamiątka narodzin Chrystusa: Uroczysta procesya w dzień Bożego Narodzenia w Betleem.

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

10

Rej wodzi między demokratami, łykom każe sobie „obywatelić“, niby Mochnacki lub Plichta, bo się panu tak podoba, bo hrabia i tak hrabią zostanie. Lampka-Małachoński przygrywa, że Gurowskiego pod Stanisławowem adjutant Leski batem od ucieczki powstrzymał. Ale to jest złość ludzka. Dla „lampki“ ten wart, kto się dał zabić.

Pani Honorata tego wieczora półtora sta złotych do Filialskiego przegrała. A potem doń w prośby. Filialski kołował, radził swoją godnością magistra prawa i administracyi, krztusił się, napomykał, że trzebaby Gurowskiego przystojnie uhonorować, bo hrabia Kwindecza ma za nic, że i tak wdzięczność ludzka zadość jemu, Filialskiemu, wyrządziła zawodów, a wreszcie, po solennych wynurzeniach, przyrzekł.

Upłynęło tak dni kilka. Magister nie pokazał się. Panią Honoratę zwątpienie naszło, ach, i niedlatego, że w Gurowskim widziała odnowiciela powodzenia kawiarni...

Aż tego właśnie dnia, w którym baterya artyleryi konnej pułkownika Bema przybyła na Pragę, dziw się stał, cud istny.

Już około południa Rózia zapukała do mieszkania pani Honoraty, zwiastując jej, że gości sporo i że trzeba kluczy od loszku, bo araku w butelkach nie wystarcza. Pani Honorata przyjęła tę wiadomość obojętnie. Spodziewała się, że wobec powrotu wojska, gości będzie więcej. Dała Rózi klucze i bez pośpiechu, zaczęła się odziewać. Godziny bodaj nie wyszło, gdy do mieszkanka pani Honoraty, wtoczył się wuj Olechowski spocony, zasapany, zziajany.

Pani Honorata oburzyła się, myśląc, że wuj zalał pałkę i od rana breweryę chce wyprawiać, lecz ten machnął ręką energicznie.

— Honoruś, ani dudu! Górą nasza i koniec, paje! Trzech, paje, klubistów, Krępowickiego tylko patrzeć, paje... Kozłowski mówi wieczorem! Będą zrzucać, paje, naczelnego wodza, rząd paje, senat paje, sprzedawczyków pod sąd, paje i koniec paje! Dziesięć antałków nie starczy, paje! Góra Honoratka! Wdziej niebieską w kwiatki...

Pani Honorata jęła żwawiej papiloty rozkręcać, a staranniej się zdobić a zagadywać, skąd, co, jak. Wuj Olechowski, po swojemu, prawił od Sasa, bajdurzył i dopiero w ostatku rąbnął.

— Był właśnie maiister...

— Filialski!

— Był, żeby ci pojedzić, jako słowo, paje, się rzekło...

— Więc hrabia Gurowski?

— Niema hrabiów, paje, demokratyczne, paje...

— Niechże, wujo, porządnie. Więc Gurowski?!...

— Będzie! Wszystko będzie. — Pojedziałem w kwiatki...

Pani Honorata, bez słowa, stuknęła wiekiem skrzyni i dobyła czarną, morową suknię...

Wuj Olechowski uderzył palcami w tabakierkę.

— Nie zawadzi, paje! Bo owóż nie wszystko...

— Cóż jeszcze?

— Bem, paje!

Pani Honorata wzruszyła ramionami i zabrała się do kończenia toalety. Wuj Olechowski nie dał się zrazić tą widoczną odprawą.

— Honoruś, mówię, paje, Bem!

— Jużby wujo mógł raz przestać!

— Pszyt ani dudu!

— Wiem, stateczny oficer, dobry człek a jeszcze lepszy strach na wróble.

— Pułkownik!

— Dopiero pod...

— Nie. Został pułkownikiem! Rozumiesz paje. On jeden, paje, pod Ostrołęką, całą armię paje harmatami paje zbębnił!

— Nie ujmuję mu.

— On jeden! Uważasz paje! — Pół roku ledwie i masz — kapitan, major, podpułkownik, pułkownik! — Trzebaby, Honoruś. Nieboszczyk twój był, prawda paje, w hułanach, ale furyerem...

— To i cóż! — odparła rezolutnie pani Honorata.

— Więc co pułkownik, to nie furyer!

— Grosza nie ma w majątku.

— Ale może mieć. Dziś pułkownik, jutro generał brygady, pojutrze dywizyi, szef sztabu, wódz, dyktator paje...

— Wuj zawsze mi głowę skołuje!

— Honoruś! Twego pragnę! W klubie, paje, wczoraj, paje, wołano — Szembek, Krukowiecki, Sołtyk, Bem! I znów Szembek — Bem! I znów Bem!

— Zobaczymy, zobaczymy. Takie szczęście nie zając jeszcze! Niech wujo tylko uważa dzisiaj na lampek wydawanie, a do butelek się nie przysuwa i kompanii nie szuka.

— Honoruś!

— Dobrze już dobrze. Zapowiem Rózi to pewniejsze.

Pani Honorata, nie uważając na mruczenie wuja Olechowskiego, bęcnęła raz jeszcze bielidłem po szyi, musnęła piesków przy uszach, zerknęła w lusterko i pachnąca, furkocząca, podążyła do kawiarni.

Tu, gdy z wysokości swego dominującego nad szynkwasem stołka, ogarnęła swoje królestwo, ledwie oczom wierzyć mogła. Ani jednego wolnego stołu. Znajomych gości mnóstwo, a między nimi, co i rusz ktoś, kogo od miesięcy nie oglądały mury Honoratki.

Nadobna właścicielka kawiarni, choć jej serce biło z zadowolenia, z jednej myśli, że Kościołowska znów żółtaczki dostanie, — umiała przystojną zachować miarę. Rozdawała uśmiechy i wdzięczne spojrzenia nawet tym, których przeniewierstwo było oczywistem. Krępowickiego przywitała, jakby widziała go wczoraj. Soczyńskiemu ani się nie skrzywiła, choć wiedziała, że od trzech tygodni w „Dziurce“ siadywał. A kiedy Duchanowski zdziwił się, że tak pełno — odrzekła mu bez zająknienia: „prawie, jak wczoraj“.

Aliści tego dnia nawet przytomność pani Honoraty miała być na ciężką wystawiona próbę. Bo oto zaledwie o zmroku przerzedziło się nieco w izbach kawiarnianych, zaledwie lampy rozpalić się zdołały, do Honoratki jął tłum caią falą napływać. I jaki tłum. Akademików w mundurach gwardyi dyktatorskiej, klubistów bez liku, pisarzów z dzienniczków cały jeden stół, z Kraińskim gromada oficerów gwardyi narodowej, audytor Fiszer z panią Chłędowską, w amarantowych wstążkach na kapeluszu, podsędek Rzepecki, major Boski, Rożewski, pułkownik Zwan, Bukowski, pani Parysowa, doktór Brawacki, Dmochowski...

Pani Honoracie w oczach aż się dwoiło ze zdziwienia, skąd się tyle naraz personatów u niej wzięło. A tu dopiero zamęt, gwałt. Dziewczęta nastarczyć nie mogą. A tu już i stołków brak i stołów i lampek i kubków i poncz trzeba zaprawiać i do loszku biedz i liczyć, liczyć precz bez wytchnienia, bez spoczynku.

I pani Honorata możeby dnia tego straciła głowę, możeby nie podołała batalii, gdyby nie nagła, niespodziewana obrotność wuja Olechowskiego, w którym, niewiadomo skąd, w decydującym momencie, nieznane zagrały talenta. Wuj Olechowski bowiem, miast korzystać ze zgiełku i wyrwawszy się z pod kurateli, opiekiej panny Rózi, do kropelki gdzie dotrzeć, ruszył do czeladnej, na parobków zakrzykuął i dalej z nimi stoły i ławy wywłóczyć a gośsiom znosić. Gdy zaś domowych sprzętów rychło nie stało, pobiegł do sąsiadów, Lesla cukiernika zobligował i w rezultacie uczynił, że jeszcze raz tyle przybyło kawiarni i siedzenia i miejsca na kubki, lampki i szklanice.

I powoli ład zapanował za szynkwasem. Goście, z najpierwszego obsłużeni, już prawidłowem zajęli się ruszaniem naczyń. W kuchni niejaki jeszcze panował rwetes, ale i ten miał się ku końcowi.

Pani Honorata promieniała. Ciemne jej, mocno podcienione oczy żarzyły się, pulchne ostro zakończone paluszki przebierały w szufladzie pełnej pieniędzy, a uśmiech kuszący w dwa pociągające dołki na białej twarzyczce załamany, szedł na prawo i lewo, przyrzekał, obiecywał, budził i młokosa gwardzistę i koił wiernego Honoratki bywalca mieszczucha, tam podstarzałemu majorowi podkręcał wąsików, owdzie gładził lwią czupryne klubisty.

Pani Honorata promieniała.

Wzmagający się w izbach kawiarnianych rozgwar zdawał się ją kołysać, rozmarzać. Tuż dokoła niej, wybuchały zapalczywe dyskusye, spory, padały groźne hasła, kuły się ponure wyroki, dźwigały szubienice, huśtały na stryczkach ciała i Skrzyneckiego i księcia Czartoryskiego i Łubieńskiego i wszystkich po kolei dygnitarzów — a pani Honorata spokojna, majestatyczna, uśmiechnięta, wyławiała z ulnego wrzenia jeno to, co stanowiło dla niej treść. Z setki głosów naraz, z dziesiątka stuknięć równoczesnych, z czterdziestu zawołań — czujne, wyzierające figlarnie z pod kruczych włosów uszko pani Honoraty chwytało najsłabsze, najcichsze odezwanie, najskromniejszy dźwięk, jeżeli tylko znaczył — „jeszcze grzanego“ — „jeszcze ponczu“ — „miodu“ — „wina“. Niemniej bacznem było spojrzenie pani Honoraty. Bo, w chwili, gdy zdawało się tonąć w oczach młodziutkiego gwardzisty, któremu z wielkiej alteracyi na tyle sukcesu, broda więzła w wielkim, amarantowym kołnierzu, przenikało i kłęby fajczanego dymu i liczyło roznoszone przez dziewczęta kubki, butle, lampki i odróżniało złotówki dobre od nikczemnych dydków i za tym samym rzutem, okrutne płomienie zapalało i w sercu majora Boskiego i do wklęsłej piersi jakiegoś rozwichrzonego demokraty się dobierało.

Aliści, dzień ten i czujnemu spojrzeniu pani Honoraty zgotował niespodziankę. Oto, w momencie, gdy z pozoru nic nie mogło ujść jego bystrości, drzwi wchodowe uchyliły się nieznacznie i wpuściły do kawiarni nowego gościa i snać nielada kogo, bo przy stołach najbliższych wejścia wszczął się przeciągły szmer.

Pani Honorata zwróciła głowę, lecz zanim dociekła przyczyny szmeru, już wuj Olechowski szepnął gorączkowo.

— Honoruś — Bem! — Bem przyszedł!

Zgrabne wykrojone usta pani Honoraty skrzywiły się przelotnie — powieki zmrużyły się. Twarzyczka właścicielki kawiarni okryła się woalem poważnej zadumy.

Pani Honorata nie widziała teraz ani niepozornej postaci oficera artyleryi, który chyłkiem przesuwał się między stołami, ani niesłyszała zgoła wyraźnego pomruku „Bem — Bem“...

Dopiero, kiedy od strony przejścia za szynkwas rozległo się ciche:

— Witam panią! — Pani Honorata drgnęła z wielkiej siurpryzy, wyrzuciła w górę powiekami i rozpromieniona, skonfundowana, porwała się z siedzenia i wionęła ku pułkownikowi.

— Ach, to pan pułkownik! Jakaż niespodzianka! — Róziu, proszę zapalić pająka w alkierzyku! Śniłam o panu! Dwa razy dowiadywałam się na Pragę!

Bemowi na łysawem czole, aż plamy czerwone wystąpiły na taką życzliwość serdeczną.

— Bardzo, bardzom wdzięczny — wyjąkał niepewnie, ileże obocześnie czuł na sobie, krom żaru wielkich, przepastnych źrenic pani Honoraty, natrętne, ciekawe, a nawet złowrogie zezowania, godzące weń ze wszech stron kawiarni.

Lecz tymczasem w alkierzyku za szynkwasem, a raczej w rozwartej wnęce, przesłoniętej zielonemi, tyftykowemi firankami, zamigotało światełko.

Pani Honorata zaprosiła pułkownika. Bem skwapliwie wsunął się za firankę.

— Niech pułkownik zajmie miejsce! — Róziu! Dasz mi kawałek pulardy i moją lampkę... a pan pułkownik...

— Wszystko jedno!... Kawy! Proszę o kawę...

— Może madery! Tak tak! Ja proszę! — Przynieś! — Godzi się, godzi! — Trzeba za awans wychylić, za szczęśliwy powrót! A nie, proszę z tej strony!... Należy mi się po tak długiem niewidzeniu — trzepotała się pani Honorata, sadowiąc się przy pułkowniku, w kącie izdebki, a strojąc doń wdzięczne minki.

Rózia nakrywała pośpiesznie stół i znosiła talerze, sztućce, wino, kawę i jedzenie.

Pani Honorata zasypywała pułkownika pytaniami, zerkała poprzez podpięte firanki w otworze szynkwasu, chyliła główkę tuż-tuż, prawie do bliznami pooranej twarzy pułkownika, a wreszcie, przepiwszy doń na cześć pułkownickich bulionów— uśmiechnęła się kusząco, pucołowatym swym paluszkiem wskazała na dołeczek w buzi i rzekła cicho.

— Proszę — nagroda walecznych!

Bemowi w oczach pociemniało... lecz zanim zdołał tknąć puszystej twarzyczki, — twarzyczka, a z nią pani Honorata, frunęła z alkierzyka za szynkwas.

Pułkownik samego siebie się zawstydził. Lecz, ledwie ochłonął, nadobna właścicielka już wsunęła się i grożąc figlarnie palcem na nosku, zakonkludowała.

— Jeno, proszę być grzecznym.

— Jestem nim, jestem przecież — odparł ochoczo Bem, wpadając w swawolność. — Jeno tamten się nie liczy! Taki całus, to nie całus — lecz oskoma!

— Tak! Więc pułkownik ma go sobie za nic!

— Za skarb cały, droga moja, za skarb! Ale zważaj, że aby musnąłem!

— Przepraszam... nie uchodzi inaczej! — Pułkownik by chciał wszystko odrazu.

— Tak, tak, kochanie, wszystko, wszystko.

— A nie trzeba, by coś zostało i dla przyszłego generała brygady i dla wodza naczelnego...

Bem porwał panią Honoratę za łapki.

— Jak, jak powiadasz?

— Że generał potem uprzykrzy sobie, co pułkownikowi się podobało!

— I ty, ty śmiesz to powiadać, dręczycielko najmilsza. A toż nie widzisz, żem wobec ciebie niby podchorąży kadet. — Od kogo zależy decydować...

— Uch! Bo pan pułkownik tak mocno ścisnął.

— Więc o pardon łapki proszę...

— Ach, zaraz, tylko zobaczę do gości...

Bem poruszył niecierpliwie.

— Goście-goście! Co tam, niech raz moje będzie święto! I cóż z tych gości! — Właśnie postanowiłem sobie jasno rzecz...

— W tej chwili, w tej chwili! — Byle wydam reszty...

Pani Honorata jednem zwinnem poruszeniem wyślizgnęła rączki z ujęcia dłoni pułkownika i znikła znów za firanką.

Bem zachmurzył się i głowę na ręku wsparł.

Kawiarnia huczała tuż, rozbrzmiewała zapamiętałemi okrzykami, a Bem ani nie słyszał piekielnego zgiełku, ani nie postrzegał kłębów dymu, które we wnęce bałwaniły się dokoła żółtych, chorobliwych światełek pająka, ani nie czuł ostrych, zatęchłych wyziewów, które biły weń z każdego kąta bezokiennego alkierzyka.

Rozgorączkowane oczy pułkownika trwały na rąbku sylwetki pani Honoraty, widniejącym w perspektywie rozchylonych firanek. A trwały tak zawzięcie, że gdy sylwetka przybrała na się pełnię kształtów i kolorów, oczy pułkownika jeszcze tkwiły tam, kędy już jej dawno nie było.

Pani Honorata zaszeleściła spódniczkami, przysiadła się do Bema i zagadnęła nieśmiało.

— Pan pułkownik się gniewa?

Bem zwrócił powoli ku niej spojrzenie.

— Gniewa się?... Nie-nie! Prawda? Ach, bo panowie nie wystawiają sobie, ile to kłopotu, ile trudu, ile utrapienia rozmaitego! Samo nie idzie. Ciągle coś nie jedno, to drugie. Właśnie ten posesor — dziewczyna powiada — że obywatel miał pięć lampek gdańskiej, a on mówi cztery! Głowę bym dała, że Kasia dobrze policzyła. Ale cóż. Z tym nie ma rady. I jeszcze powiada, że u Kościołowskiej taniej! Pan pułkownik mniema, że mi życie po różach się układa z kawiarnią, że nie wolałabym rozmawiać się spokojnie — albo siedzieć sobie teraz gdzie w Saskim Ogrodzie! Pan pułkownik doprawdy niesprawiedliwie. Gdybym mogła, ach, gdybym mogła, dziś jeszcze rzuciłabym wszystko!

— Gdybyś chciała! — poprawił głucho Bem.

— Nie, nie, gdybym chciała! Nie za własne kawiarnię wzięłam — więc nie wolno mi zmarnować cudzego, nie wolno z torbami puścić wuja Olechowskiego. Więc trzeba kupca, a o niego trudno. Za byle co niepodobna! — Ach, żebym miała tak, jak nie mam...

— Pomówmy rozsądnie.

— Radam wielce! — Jeszcze malagi. Dziś, Bogu dzięki, nieco więcej gości — lecz co będzie jutro. A tu Fukier z Dobryczem spokoju mi nie dają, kawa znów zdrożała... A tu nikogo, nikogo! Pan pułkownik łaskaw, tak, ale cóż, przecież rozumiem, nawet nie przystoi panu pułkownikowi...

— Wiesz dobrze, iż nic sobie z ludzkich jęzorów nie robię.

— Tak się to mówi, a zawsze kawiarka kawiarką! Mam powiedzieć prawdę, gdym się dowiedziała, że pan pułkownik tak się dystyngował, to aż mnie żółć! Prawdziwie!... Już nawet myślałam, że nie bez kozery baterya konna przepada bez wieści. Ach, ile się nadręczyłam, ile nabeczałam...

Bem żwawiej się poruszył.

— I bez przyczyny, bez powodu! — Daj mi mówić. Przybyłem tu nietylko dla widzenia, dla ucieszenia się, dla przywitania — lecz i dla wyłożenia ci nowych zamiarów! Mój awans na pułkownika...

— Niesłychany...

— Był mi obojętnym dotąd, dopoki nie wspomniałem na ciebie.

— Trzy i pół dukata więcej miesięcznie.

— Nie w tem rzecz. — Pomnisz list mój ze Lwowa...

— Jakżeby nie! — odrzekła pani Honorata, poglądając niespokojnie w stronę kawiarni. — Mam go w szkatułce...

— A ja słowa jego w sercu noszę...

— Jaki pan pułkownik dobry, jaki zacny!

— Nie tytułuj-że mnie pułkownikiem!

— Żebym śmiała!... Proszę wybaczyć, jeno do Rózi muszę...

Pani Honorata podniosła się, lecz pułkownik przytrzymał ją za rękę.

— Pozwól — dokończę...

— Wrócę natychmiast.

— Dwa słowa.

Pani Honorata uległa, wystraszona stanowczością pułkownika.

— Nie bierz za złe — rzekł po pauzie Bem — lecz postanowiłem sobie jasno sprawę przedłożyć, wyjść z nieznośnego labiryntu półsłówek i zapytać ci się wprost...

— Proszę pani, pan radca Filialski — rozległ się śpiewny głosik Rózi.

Bem targnął się.



...odepchnął stół i jął mierzyć niespokojnemi krokami wąski przestwór.

— Niech czeka...

— Niepodobna.

— Pan radca w pilnej sprawie...

Pani Honorata poderwała się, rzuciła pułkownikowi błagalne spojrzenie i wybiegła za Rózią z alkierzyka.

Pułkownik znów sam został. Lecz tym razem snać rady nie mógł sobie dać z natłokiem myśli, bo szarpnął się gniewnie, odepchnął stół i jął mierzyć niespokojnemi krokami wąski przestwór.

Pani Honorata nie wracała. Pułkownik zatrzymał się raptownie przed rozchyleniem firanki, spojrzał pytająco w głąb kawiarni i rozśmiał się cierpko do samego siebie...

O kilka kroków, przy ustronnym stoliku, pod filarem arkady, powabna główka pani Honoraty chyliła się bezwładnie ku srebrnym naramiennikom wytwornego porucznika gwardyi narodowej.

Bem pohamował śmiech.

— Wzburzenie go prze — toć cóż zdrożnego. Taki jej los, taki zawód. Aliści, musi być uprzejma, musi nieraz przyjąć zaproszenie! Choćby pragnęła, niema prawa. Faramuszki! Wyrwać ją należy do innego życia, innego otoczenia dźwignąć! Tu inaczej niepodobna... niepodobna...

I pułkownik bronił przed sobą samym pani Honoraty i tłumaczył, że ani grająca kolorami jej twarzyczka, ani zalotne uśmiechy, ani ożywienia, z jakiem wiodła z porucznikiem rozmowę, niczego zgoła nie dowodzą. Lecz pułkownik bronił panią Honoratę coraz słabiej, coraz niezręczniej, bo oto tam, pod filarem, promień kruczych włosów zawiązał już znajomość z falistą wijącą się czupryną gwardzisty, bo oto opiekłe paluszki spoczęły już z poddaniem w dłoniach porucznika.

Bemowi krew uderzyła do głowy. Wszystkie tętna zakołatały w nim wołaniem, aby się rzucił między nich, aby precz odtrącił śmiałka, aby od niewiernej tłumaczenia zażądał.

I pułkownik zgarbił się, pochylił, jak ryś do skoku, lecz naraz oczy mu zmętniały, osunął się na ławę bezwładny, przygnębiony. Aż w głębi piersi chrobot głuchy, szyderczy zaskrzeczał mu i kątami szarpnął.

— Na śmieszność, na poniżenie własne, na mękę dobrowolną znów tu przyszedł i przyszedł z sentymentami, z głupstwem czułości! Prawda, deklarować chciał sakrament i pułkownickie epolety! I komu-komu?! Wstyd jeden, hańba, żakostwo, dzieciństwo, lekkomyślność! — Pułkownicką biedę i pułkownicką brzydotą chciałby taką zawojować, której albo lali trzeba albo woru złota, a która, mając jedną, gonić będzie zawsze i za drugiem! — A on tu, za szynkwasem kawiarnianym, w norze, za firanką wysiaduje, niby gołowąs. Mundur poniewiera dla doczekania się jednego z tysiąca uśmiechów, rozdawanych tu na wiązanek do każdej szklanki ponczu! Głupstwo, głupstwo, urojenie, przywidzenie! Wyżenąć trza te zapały i potargać sieci, w które wikła i siebie i swoją godność i swoją przyszłość i w chwili, gdy zbrodnią jest samolubnym oddawać się myślom, w chwili gdy on sam dla opieszałości, bez zyjnności innych tak surowym jest sędzią..

Powinien odejść stąd, odejść natychmiast i nie wrócić nigdy, nigdy tu nie wrócić...

Bem porwał za furażerkę, przypasał szpadę i rzuciwszy pieniądz na stół, wybiegł z alkierza i nie poglądając ku stolikowi za filarem, wysforował się na środek izby ku wyjściu.

Tu atoli śmiertelna głusza, która raptem zaległa kawiarnię zmieszała pułkownika.

Bem postąpił niepewnie naprzód. Mur stłoczonych głów zagrodził mu przejście a równocześnie ponad głowami jakiś głos przeraźliwy wrzasnął:

— Obywatele!

Pułkownik, rad nie rad, przystanął.

Tymczasem mówca przygodny, po wyrzucenie pierwszego zawołania, jął prawić o rewolucyi francuskiej o dziejach konwentu, o Dantonie, o Robespierze, o Mirabeau, o równości stanów, o knowaniach szlachty, o tem, kto wogóle zgubą jest ojczyzny — aż od przesłanek, od historycznych wspomnień, zaczął staczać się do dziejów ostatnich miesięcy, ostatnich dni.

Bem słuchał z początku obojętnie burzliwej mowy, ledwie bacząc na jej treść, lecz gdy już nie tylko Rząd narodowy z senatem i sejmem cięgi brał, lecz i armii epitety dosadne się dostały — pułkownika dojęło. Ale i nie jego tylko, bo ze wszech stron kawiarni rozległy się okrzyki protestu.

— Wojska nie tykać! — Wara od wojska! — Milczeć!

Mówca atoli nie dał się zbić z tropu. Dźwignął hardo głowę i rozśmiał się wyzywająco.

— Cha-cha! Bronicie armii! O którejże myślicie? Czy o tej, którą pędzą bez celu, ładu i planu, którą demoralizują, która daremnie błaga, by ją prowadzono na boje, czy o tej, która knowania prowadzi z nieprzyjacielem, która czyni wszystko, aby nas sprzedać, aby nas zgnębić, aby spiskować, aby wytrącić pierwszej oręż z ręki! Ja, obywatele, o tej drugiej mówię! I na tą, wołam do was o pomstę! O pomstę na szpiegów, na sprzedawczyków, na panków, na szlachtę, na łotrów!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Szopka krakowska“.

„Zielony balonik“, bardzo sympatyczna instytucya, gnieżdżąca się od lat pięciu w słynnej „Jamie Michalikowej“ przy ul. Floryańskiej, rozszerza swój „interes“ i jako „Szopka krakowska“ rozpoczyna w bieżącym tygodniu przedstawienia, na szerszą zakrojone skalę, bo przeznaczone nietylko dla grona „chłopów dzikich, kosmatych“, dla rozmaitego rodzaju „peleryniarzy“, lecz dla „Szanownej PT. Publiczności“, która może tam przybyć bez obawy wraz z „ewentualną małżonką i krewieństwem swojem“.

„Szopka“ składać się będzie z trzech aktów, w których wystąpią ogólnie znane osobistości, jak np. Herod F. A. Łat, B. Adeni, Jacek Symbolewski, M. Y. Cielski, Bandur Wagnerowski, mistrz Grdyka, Wilhelm Geldman, Adolf Reinhard Dramoczyński itd. Osobistości te zaprodukują szereg artystycznie wykonanych figurek, dzieła artystów-rzeźbiarzy Szczepkowskiego, dr. Kunzeka i Puszeta. Tekst monologów i dyalogów, które figurki te będą wygłaszać, ułożyli pp. Boy i Nos...ki, a firma ta daje najpewniejszą rękojmię, iż humor i satyra będą w najlepszym gatunku i stylu.

Scenka w postaci „szopki“, wykonanej w swoim czasie według projektu artysty-malarza Kamockiego, jest też arcydziełem swego rodzaju. Zamiast zaś opisu, podajemy dziś podobiznę jej, wraz z dwoma figurkami na scenie.

Przeciw aeroplanom.

(Do illustracyi na str. 2.)

W sferach wojskowych niemieckich wywołała ogromne zaniepokojenie kwestya coraz bardziej rozwijającej się awiatyki, która musi zmienić zupełnie dotychczasowy system wojowania. Po wielu nieudałych próbach, zdołano nareszcie w przeciągu trzech ostatnich lat skontruować specyalne działo, które pozwala na wyrzucanie pocisków w kierunku zupełnie prostopadłym. Wysiłki te jednak, według zdania fachowców, nie rokują wielkiego widoku powodzenia w zastosowaniu praktycznem. Próby przedsięwzięte z przenoszeniem działa z miejsca na miejsce przy pomocy koni, wypadły dość niepomyślnie, chyżość aeroplanów i balonów do kierowania jest daleko większą, niż osiągnąć je może działo choćby nawet ciągnione przez najdzielniejsze konie. Próbowano zastosować w tym celu automobile, ze zmiennem jednakowoż powodzeniem, rezultaty bowiem okazały się niepomyślne, w braku jednak innych środków lokomocyjnych, próby odbywają się w dalszym ciągu.

Pruski minister wojny zaaprobował ostatecznie dwa modele dział, jeden przeciwko balonom do sterowania, drugi przeciw aeroplanom. Pierwszy jest działem systemu Kruppa o kalibrze 65 mm, zmontowanym na automobilu i urządzonym do strzelania, a osadzony jest w wieżyczce pancernej, w której się znajduje i obsługa działa. Wszystko to umieszczone jest na automobilu.

Manewry tegoroczne, do których czynią się już przygotowania, okażą, czy i o ile nowe działa okażą się niebezpiecznemi dla nieprzyjaciela, któryby chciał z powietrza zaatakować niemieckie szeregi.



Fot. Kuczyński & Gürtler, Kraków.

„Paweł I“ na scenie krakowskiej: Dyrektor Ludwik Solski w roli „Pawła I“.

Echa powyborcze.

Dawno minął w kraju naszym odgłos ostatniej namiętnej walki wyborczej, zapomniano już o całym szeregu wesołych i smutnych epizodów tych pamiętnych zapasów o mandaty poselskie, bywały nawet od tego czasu niejednokrotnie chwile, kiedy zdawało się, że nowe wybory są bliższe niż poprzednie, gdyż groziło rozwiązanie izby poselskiej, zapomniano tem bardziej o dawnych wyborach, przeprowadzonych jeszcze 1898 r., aż nagle echo owych zapomnianych walk przedwyborczych ozwało się niespodziewanie w sali krakowskiego sądu powiatowego.

Oto poseł ks. Stojałowski pozwał masę spadkową po tragicznie zmarłym adwokacie, ś. p. dr. Włodzimierzu Lewickim, o zapłatę kwoty około 2000 kor., wyłożonej rzekomo w okresie przedwyborczym, na rzecz agitacyi za kandydaturą ś. p. Lewickiego, gdy ten w okręgu sanockim stanął do walki wyborczej w r. 1898 przeciw p. Stapińskiemu.

Rozprawa sądowa toczyła się przed sędzią p. Wielgusem. Powód zjawił się na rozprawie osobiście wraz z swym zastępcą adwokatem dr. Lewandowskim, masę spadkową zastępował adwokat dr. Zygmunt Kłębkowski. W celu wyjaśnienia tej dawno przebrzmiałej historyi zawezwano i przesłuchano już kilku świadków, gdyż dotąd odbyły się już dwa terminy w tej sprawie. Zeznania świadków nie dały jednak należytego materyału do rozsądzenia sprawy, na żądanie więc zastępcy pozwanej masy spadkowej sędzia zgodził się na wezwanie jeszcze kilku świadków, którzy mają stwierdzić, czy osoba ks. Stojałowskiego i jego zeznania są dość wiarygodne, by wyłącznie na ich podstawie można wydać wyrok sprawiedliwy.

O obrazę policmajstra.

Wielkie zainteresowanie obudziła w całem państwie rosyjskiem sprawa karna, jaką wytoczono bawiącemu w Rewlu na gościnnych występach znanemu i u nas atlecie Lurichowi. Chodzi mianowicie o potwarz rzuconą rzekomo przez niego na tamtejszego policmajstra Cypyraskina.

Niedawno skradziono z wystawy jednego ze sklepów w Rewlu, honorowe medale i żetony Luricha, wystawione tamże w celu reklamowym. Złodziej nie obłowił się bardzo, wartość bowiem materyalna tego rodzaju honorowych odznak jest zazwyczaj bardzo problematyczną, atletę jednak strata dotknęła bardzo boleśnie i ogromnie zdenerwowała. Tego samego dnia przybył do mieszkania siłacza, celem przeprowadzenia urzędowego dochodzenia, naczelnik rewelskiej policyi śledczej. Lurich w rozdrażnieniu oświadczył mu, iż kradzieży tej dokonano nie bez udziału policmajstra.

Skutkiem tego wdrożono śledztwo, w czasie którego przesłuchano cały szereg cyrkowych siłaczy, którzy zeznali, że w cyrku jeszcze przed kradzieżą twierdzili policyanci, iż Lurich „pozostanie bez swych medali“.



Echa powyborcze: Ks. poseł Stojałowski.



O obrazę policmajstra: Atleta Lurich

Od Administracyi.

Prosimy o rychłe odnawianie przedpłaty na rok 1911 i zwracamy uwagę, że kto nie nadeśle prenumeraty najdalej do 11 b. m., następnego numeru już nie otrzyma.

Kronika tygodniowa.

O całość naszej ojczyzny austryackiej możemy być zupełnie spokojni, skoro delegacya cislitawska wybrała do komisyi wojskowej posła Petelenza. Również i finanse nasze będą w dobrym stanie, bo do obrony ich wezwano posła Bombę. Taż Bomba z posłem Tomaszewskim weszła do komisyi bośniackiej, dowóz więc śliwek i powideł do Galicyi jest stale zabezpieczony.

Natomiast chmura niepewności zawisła nad losami ministeryum. Fotele są gotowe, tylko niewiadomo, do czyich główy należeć będą te części ciała, które na nich zasiądą. Z naszych parlamentarzystów jeden tylko dr. Głąbiński ma, zdaje się, zupełną pewność, iż jednego z nich dotknie swą po włoką ziemską. Prócz niego, w liczbie kandydatów wymieniają Kozłowskiego, Stapińskiego, Germana, Kędziora, Starzyńskiego, Górskiego, Ruebenbauera, Bobrzyńskiego, Dulębę i t. d. Każdy z nich posiada potrzebne ku temu kwalifikacye, każdy ma na czem siedzieć, żaden zresztą nie cofnąłby się przed ofiarą służenia państwu i narodowi. Mówią również i o urzędnikach pp. Zaleskim i Rosnerze, iż byliby gotowi zamienić rangi czwarte na drugie. Czego, jak czego, ale kandydatów na ministrów nam nie zabraknie. Jedno tylko zastanawia, a mianowicie to, iż żaden z czterech posłów krakowskich nie jest wymieniany między kandydatami. Czy to brak kwalifikacyi, co byłoby dla nas Krakowian upokarzające, — czy też wysoka skromność tych panów, co byłoby głęboko wzruszające.

Nie byłaby, ale jest zaprawdę wzruszająca ciekawość państwa, manifestująca się w „kartach oznajmienia do spisu ludności i najważniejszych zwierząt użytkowych“. Nie zaprzeczając ważności statystyki, należy zauważyć, że dopiero po raz pierwszy, jeżeli się nie mylę, dwuręczny i dwunożny *homo sapiens* został ściśle zrównany z bydłem i drobiem — dawniej bowiem osobno liczono ludzi, a osobno kury, świnie, krowy, gęsi, skopy i cielęta. To zrównanie zwierząt z ludźmi i przyznanie pierwszym, że są użytkowe, czyli użyteczne (którego to przymiotu ludziom odmówiono), ma prawdopodobnie źródło w walkach toczonych na arenie parlamentarnej. Jeżeli bowiem nieraz wybrańcy ludu zachowywali się na równi z „najważniejszemi zwierzętami użytkowemi“, gryźli się jak źrebce, rzucali się na siebie jak byki, ryczeli jak osły i krowy, skakali do siebie jak koguty, toć należało niejako urzędownie stwierdzić to pokrewieństwo duchowe między gatunkami już fizycznie do siebie zbliżonymi. Biuro statystyczne nie zachowało jednak zupełnej bezstronności. Z ciekawością dopytuje się o wiek i płeć koni, owiec i bydła rogatego, wchodząc nawet poniekąd w ich stosunki małżeńskie — osłów natomiast lekceważy, gdyż pyta się tylko o ich liczbę. Tą samą obojętność zachowuje względem kur, gęsi i kaczek, a tendencyjnie pomija indyki i indyczki, gdyż nawet ich nazwy nie raczyło wymienić w „karcie oznajmienia“.

Natomiast należy się uznanie biuru statystycznemu za wzbogacenie języka i piękność stylu, w jakim przemawia do nas w swem „pouczeniu“. Jak piękny, prosty i niezawisły jest naprzykład ustęp: „Celem oparcia oznajmień tych, a względnie wpisów, jak również rewizyi ze strony urzędu gminnego, której należy później oczekiwać, na zupełnie pewnej podstawie, mają osoby, podlegające spisaniu, o ile chodzi o właściwe daty osobiste, trzymać w pogotowiu dotyczące dokumenty“... Do wojska czynnego należą też „gażyści“ i zostający na urlopie z płacą „poczekalną“ (Wartegebühr). „Wtedy tylko zaliczyć należy daną osobę do pewnego gospodarstwa domowego w jednym z wymienionych przymiotów (?), jeżeli ona sama nie stanowi własnego gospodarstwa domowego“. Dalej należy w przedziałce trzeciej „podać stosunek pokrewieństwa lub inny stosunek (hm, hm!) poszczególnych osób do posiadacza mieszkania (to coś wygląda na zdradę tajemnic sercowych)... to jest czy pozostaje każda osoba względem posiadacza mieszkania lub wymienionej bezpośrednio przedtem głowy gospodarstwa domowego, albo względem podnajemcy w stosunku małżeńskim... czy jest jego gościem, czy pozostaje na jego utrzymaniu“... Za „ślepych“ uważa „pouczenie“ nie tylko osoby, które zupełnie straciły wzrok „lecz także te, których siła widzenia nie jest dostateczna, by mogły same wyznać się (zurechtfinden) w miejscach obcych“...

Można zrozumieć, że niejeden „posiadacz mieszkania“ (najmujący mieszkanie), przeczytawszy kilka bitych stron takiego pouczenia, jeżeli nie jest zarazem posiadaczem tęgiej głowy, do reszty zgłupieć może, za co otrzyma „odpowiednią karę na wolności w wymiarze aż do 4 dni“ lub będzie ukarany grzywną do 40 kor. Ba! nawet może grubo odpokutować, bo „karta oznajmienia do spisu ludności i zwierząt“ (po polsku: Zeznanie do spisu) przewiduje nawet możność pociągnięcia go do odpowiedzialności w myśl ustawy karnej“. Ładna perspektywa: stracić zdrowy rozsądek wskutek studyów nad językiem i stylem urzędowym i znaleść się jeszcze za to w kryminale.

I niema wątpliwości, że więzienia zapełnią się posiadaczami mieszkań. Niejeden np. pomyli się w oznaczeniu piętra, bo statystyka austryacka wzoruje się na poglądach rosyjskich, które nasze pierwsze piętro uznają za drugie. Inny nie połapie się, co to jest przyziom, a co poziom (ma to być suterena, a więc raczej p o d z i o m, niż poziom). Trudno będzie szlachcicowi oznaczyć „stopień szlachectwa“, boć u nas szlachcic jest szlachcic i basta— o żadnych stopniach nie słyszał (może chyba dr. Loewenstein z Rydzyny, jako nowy szlachcic, będzie coś o tem lepiej wiedział).

Z językiem potocznym także bieda, boć trudno np. literatowi napisać, że nie używa języka literackiego, lecz potocznego. Żydom do żargonu przyznać się nie można, a przecież to jest jedyny ich język potoczny — każdy więc żyd chałatowy podający w swej „przedziałce“ język polski, ruski czy niemiecki, poda „szczegół nieprawdziwy“ i pod klucz się dostanie. Ludzie mniej mądrzy, niż statystycy austryaccy, daliby przedziałkę na narodowość, boć język nie zawsze o narodowości rozstrzyga i nie tak dawno byli Rusini nie umiejący po rusku, są Litwini nie umiejący po litewsku, są Polacy urodzeni we Francyi, uznający się za Polaków, a władający dobrze tylko językiem francuskim. Henryk Dąbrowski, wódz legionów, do końca życia źle władał polskim językiem, bo się urodził i wychował w Saksonii, był synem Niemki i zniemczonego Polaka.

Piszący te słowa sam się obawia „Kary na wolności“, bo wypełnił naprzód pierwszą mieszkaniową stronę „Karty oznajmienia“, a tymczasem pouczenie mówi wyraźnie, że szczegóły te (mieszkaniowe) należy wpisać dopiero po wypełnieniu wewnętrznej strony „karty oznajmienia“. Dlaczego *po*, a nie *przed* — to pozostanie prawdziwą zagadką statystyki austryackiej.

Dla wielu czytelników zagadką również zostanie o co są takie borby w syndykacie rolniczym, wiemy tylko tyle, że Rada nadzorcza dała dymisyę dyrekcyi, a dyrekcya dała dymisyę Radzie nadzorczej, że p. Dolański wyrzuca za drzwi p. Prażmowskiego, a p. Prażmowski wyrzuca przez okno pana Dolańskiego, że różnych jasnych panów (nawet Tarnowskich!) nie puścił na salę dyr. Szczawiński, że ci jaśni podobno zatarasowali swemi ciałami wejście prof. Cybulskiemu, spieszącemu na pomoc panu Prażmowskiemu, że walne zebranie uznało radę nadzorczą za nielegalną, a Rada nadzorcza odmówiła legalności walnemu zebraniu. Po której stronie słuszność, tego nie wie nawet p. Feliks Jasieński, który był na owem zebraniu i wrażenia swe opisał w „Głosie Narodu“ — skądże więc ma wiedzieć kronikarz „Nowości“, który się o syndykat nawet nie otarł. Jakiś humorystyk sądzi, że i w tej sprawie: *cherchez la femme*, ale kronikarz prędzej przypuszcza, że raczej należy szukać jakiegoś geszefciku, który poróżnił dotychczasowych przyjaciół. Może ktoś komuś w czemś jest niedogodny, może ktoś z kimś nie chce się czemś podzielić, może ktoś komuś czegoś zazdrości, może ktoś chce coś od kogoś, a drugi ktoś nie zgadza się na żądania pierwszego ktosia, a najprawdopodobniej chce się ktoś rządzić jak szara gęś, przeciw czemu występują inni ktosie. Tak czy owak, coś czy ktoś nie pachnie. Radzono nawet wybrać komisyę mającą dobre nosy, którąby wywąchała od kogo niemiła woń pochodzi, ale zebrani uznali, że najlepiej odroczyć walne zebranie na cztery tygodnie, widocznie w nadziei, że smród przez ten czas się ulotni, a przynajmniej rozrzedzi. Podniósł się nawet głos, aby postarać się o milczenie dziennikarstwa, bo „skandal szkodzi instytucyi“. Pyszna recepta: róbmy skandale, bo to nic nie szkodzi, tylko niech o nich nikt nie pisze, bo to dopiero szkodzić może.

Innego rodzaju receptę wyczytałem w pewnym dzienniku. Jakiś zbawca ludzkości i moralista znalazł środek niezawodny na drożyznę. Recepta ta brzmi: wstrzymajcie się od wszelkich trunków, nie palcie tytoniu, nie chodźcie po restauracyach, żyjcie oszczędnie, a... zostaną miliony w kraju. Widocznie ów pan, co to pisał, jest człowiekiem zamożnym, który nie pijąc, nie paląc i siedząc w domu, może ładny grosz zaoszczędzić.

Ale co taka recepta pomoże „osobnikowi“, mającemu np. 5000 kor. pensyi i pięcioro dzieci? A toż on za samo mieszkanie musi płacić przynajmniej 1400 kor., a te 3600 mają mu wystarczyć na życie, ubranie, opał, służbę i wszelkie potrzeby całej rodziny. Trzebaby mu dalej powiedzieć: nie posyłaj dzieci do szkoły, nie wysyłaj ich dla zdrowia na lato, zakaż sobie i im chorować, bo doktór i lekarstwa kosztują, nie chodź nigdy do teatru, wyrzeknij się wszelkich zmysłowych i umysłowych przyjemności. Samo wstrzymanie się od alkoholu i tytoniu nie wystarczy. Ten sam osobnik przed sześciu laty płacił za toż samo mieszkanie 800 kor., a 40 h. mniej za kilo mięsa i za wszystko mniej wogóle — więc mógł wyżyć, a dziś nie może. — A cóż mówić o tych, co mają 3000 kor. dochodu. Tu najlepsza recepta byłaby: nie mieszkaj, nie jedz, chodź jak cię Pan Bóg stworzył — a... zostaną w kraju miliony.

Nie staję tu bynajmniej w obronie picia, palenia i knajpy, ale zamiast szukania środków do walki z drożyzną, pleść smalone duby o oszczędności tym, co wskutek drożyzny mieszkań i artykułów spożywczych, gorzej już żyją niż robotnik za granicą, trzeba nie mieć pojęcia o stosunkach tej „średniej klasy“, którą drożyzna przygniata.

Ta drożyzna to główna pozostałość z r. 1910. Prócz niej przyniosły nam dzieje ubiegłego roku następujące „krachy“, katastrofy i „mentekaptacye“:

Krach banku parcelacyjnego p. Stapińskiego, krach przekonań tegoż posła (po raz piąty) i krach jego dziennika.

Krachy moralne: proces Borowskiej i sprawa Macocha.

Katastrofy patryotyzmu hr. Wodzickiego: potknięcie się na Grunwaldzie i śmiertelny upadek rydzyński.

Krach nieustający z pomnikiem Kościuszki i krach jubileuszu Szopena w Krakowie.

Krach kanałów galicyjskich, uświetniony pogrzebem moralnym pp. Bilińskiego i Dulęby.

Koncerty instrumentalno - wokalne urządzane w sali sejmowej przez grono amatorów ukraińskich.

Salto-mortale Muzeum przemysłowego.

Epidemia bzika footballistycznego w redakcyach krakowskich.

Apoteoza Dreadnougthów wyśpiewana przez posła Petelenza.

„Kocia“ sprawa (Heller-Pawlikowski) we Lwowie — i t. d. i t. d.

Co nam, prócz paru ministrów, przyniesie r. 1911 przewidzieć trudno. Zwłaszcza, że niewiadomo nawet, czy to naprawdę będzie rok 1911, bo p. Krajewski w feljetonie „Reformy“ twierdzi, że od narodzenia Chrystusa upłynęło lat 1916 i zaczyna się rok 1917. Miał więc słuszność Aug. Wilkoński, „Krzyża naturalnego kawaler“, kiedy na listach pisanych do przyjaciół przy dacie zawsze dodawał: „jeżeli się nie pomylili, bo ja za to nie ręczę“.

„Paweł I" na scenie krakowskiej.

W szeregu wspaniałych reprezentacyi, danych w bieżącym sezonie w krakowskim teatrze miejskim, jedno z pierwszych miejsc zajęła świetna sztuka historyczna D. Mereżkowskiego, wybitnego autora rosyjskiego, zatytułowana „Paweł I". Wystawieniem skończenie artystycznem tego dzieła złożył dyrektor Solski nowy dowód, jak wysokie, jak szczytne aspiracye przyświecają mu w kierownictwie teatru, złożył też nowy dowód wielkiego talentu reżyserskiego a kreacyą roli tytułowej zdobył niekłamane, ogólne uznanie dla swych istotnie niepospolitych zdolności aktorskich.

Sztuka Mereżkowskiego jest doskonałym dramatem historycznym, odtwarzającym z wielką plastycznością ostatnie dni panowania cesarza Pawła I i stosunki ówczesne na dworze cesarskim.

Treść sztuki rozłożona na siedm, pełnych życia obrazów, jest wysoce interesująca, trzyma też uwagę widza przez cały czas w naprężeniu.

Że zaś teatr krakowski dał jej oprawę prawdziwie artystyczną i stylową, że wystawa, dekoracye i kostyumy, są historycznie wierne a przytem nadzwyczaj piękne, że gra wszystkich występujących w niej artystów z dyrektorem Solskim na czele zadowolić może najwybredniejsze wymagania, więc powodzenie osiągnięto bardzo znaczne. Wszystkie dotychczasowe przedstawienia tej sztuki wypełniły też szczelnie widownię teatru.

W sztuce Mereżkowskiego miał dyr. Solski znowu sposobność okazania swych nadzwyczajnych zdolności reżyserskich. Wyborne zgranie się całego zespołu, nadzwyczaj sumienne i staranne wykonanie wszystkich bez wyjątku, nawet najdrobniejszych ról, świadczyło o wielkim nakładzie pracy zarówno ze strony całego personalu teatru, jak i ze strony reżyseryi.

Na czoło *ansamblu* wysunął się oczywiście dyrektor Solski w roli tytułowej. Oczywiście, bo przywykli wszyscy do tego, że kreacye tego wielkiego, dziś chyba bez zaprzeczenia największego artysty dramatycznego w Polsce, stanowią prawdziwe arcydzieła sztuki odtwórczej, porywające bajeczną wprost plastyką, zdumiewające nadzwyczajnem odczuciem kreowanej postaci. Pośród długiej galeryi typów, kreowanych ostatnio przez dyrektora Solskiego, obok Dymitra, Iwana Groźnego, Fryderyka Wielkiego, zajmie Paweł I. miejsce bodaj że naczelne, tak świetnie, tak wspaniale rolę tę Solski pojął, opracował i wykonał. Wobec takich kreacyi nie mogą wystarczyć stereotypowe, banalne frazesy uznania. Trzeba chyba powtórzyć to, co niedawno o Solskim napisano, że jeśli można mówić o geniuszu autorskim, Solski go posiada, i że gdyby Solski był Francuzem, wiedziałby o nim cały świat, jak wie o Sarze Bernhardt, o Coquelinie, o Guitrym.

I gdyby w sztuce Mereżkowskiego nic po za postacią, kreowaną przez dyrektora Solskiego, nie było, to już tylko dla tej roli wartoby ją było poznać i zobaczyć.

Wspominając z szczerym podziwem, o nadzwyczajnej kreacyi dyr. Solskiego, nie można pominąć reszty artystów, występujących w tej sztuce, zwła-



„Szopka krakowska": Scena „szopki" wraz z dwoma posążkami, Jackiem Symbolewskim i „bramkarzem" B. Adenim.



„Paweł I" na scenie krakowskiej: Scena końcowa sztuki D. Mereżkowskiego p. t „Paweł I".

szcza, że wszyscy prawie starali się stanąć na możliwie najwyższym poziomie, co też na ogół zupełnie się powiodło. W szczególności doskonale wywiązał się z zadania swego p. M. Węgrzyn, który grał hr. Palena. Rolę tę, opracowaną bardzo szczegółowo i wykonaną z wielkim talentem, zaliczyć może sumienny ten artysta do swych popisowych. Obok p. M. Węgrzyna zbierał zasłużone oklaski p. Weychert jako następca tronu Aleksander, artysta młody, wysoce utalentowany i coraz większe zyskujący uznanie i powodzenie. Pp. Stanisławski, J. Węgrzyn, Siemaszko, Mielnicki, Leszczyński, Kosiński, Jarszewski, Szczurkiewicz, Miarczyński, Szymborski i inni — wszyscy włożyli w swe role dużo talentu i pracy i przyczynili się w znacznej mierze do powodzenia sztuki. Z pań, występujących w „Pawle I.“ najwyżej stanęła p. Krysińska, jako cesarzowa Pawłowa, podobały się również pp. Morozowiczówna i Młodziejowska.

Osobne uznanie należy się p. Spitziarowi, za prawdziwie artystyczne stylowe dekoracye.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 52.

Łamigłówka: Dosiego roku! Wesołych świąt!

Arytmograf-logogryf:

B

E r b

K w o t a

S k a n d a l

R u i n y

A s z

ł

P a c

E w a

T o a s t

W i d o n

E s k o r t a

K o t w i c a

D u c h i ń s k a

C a n t a l u p i

R a d z i k o w s k i

A r y s t o t e l e s

G l a z g o w L o n d y n

W ł o c h y S z w e c y a

K o ł y s a n k a B u d n i k

I n f a n t k a B a j b u z a

Szarada: Zaręczyny.

Zadanie do przestawienia: Jeż pokole też.

Trójkąt magiczny:

N i e m c e w i c z

I z r a e l i c i

E l e o n o r a

M a r y n i a

C z a p k a

E d y k t

W a z a

I z a

C o

Z

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów. W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, J. Cichocki Sanok, M. Planecka Kraków, F Gebhardt Kraków, W. Potocka Zakopane, R Knapik Bierzanów, J. Kopczyńska Kraków, M. Popiel Sanok, H. Malczewski Lwów, J. Gawroński Kraków, J. Łopatkiewicz Podgórze, F. Stankiewicz Rzeszów, M Trzeciak Jasło, T. Tokarski Rzeszów, H. Martin Bochnia, J. Hillenbrand Lwów, D. Sedyńska Kraków, J. Wilczkiewicz Sanok, W. Lisowski Kołomyja, J. Ohrenstein Stanisławów, J. Rost Sambor, H. Żybura Rzeszów, K. Held Lwów, J. Osadziński Tarnów, M. Żebrowski Przemyśl, S. Gralewski Warszawa, S. Bukowski Zakopane, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Pankowski Kraków, J. Trepka Kraków, M Silbermann Podgórze, K Tabaczyński Sambor, J. Jodłowski Kraków, M. Lewicka Jasło, J. Radomska Kraków, M. Więckowska Warszawa, J. Ogonowski Czerniowce, H. Arzt Lwów, J Pick Warszawa, W. Ostrowski Sandomierz. M. Chyżewska Wiedeń, J. Bieńkowski Wiedeń, J Jahoda Cieszyn, H. Pątek Podwołoczyska, M. Wacięga Kęty, J. Litwiniszyn Lwów, M. Świrski Piotrków, H. Zdanowicz Warszawa, W. Kwaśniewski Radom, M. Bandrowska Płock, H. Thun Kalisz. J. Wieczyński Jordanów, R. Tarchalski Skierniewice, M. Przeździecka Warszawa, J. Nowak Piotrków, W. Lichański Radom. N. Klappholz Rzeszów, J. Łuczko Sandomierz, W. Tomasik Kraków, M. Kuszpecińska Warszawa, J. Oborski Kraków, J. Michalik Sanok, H. Bieńkowski Warszawa, R Czapski Petersburg, J. Nawrocki Mińsk, B. Branicki Starawieś, K Armatys Kraków, J. Czarkowski Sambor, M. Kruszelnicka Jodłów, H Zachara Jasło, J. Wyka Limanowa, H Baziak Nowy Sącz, M. Ogrodnik Wieliczka, I Brzostowski Kraków, M Wójcicka Brody, H. Tarkowski Kijów, J Nowacki Lwów, M. Maciejowska Kraków, J. Link Lwów, K. Fuchs Czeremchów, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **F. Stankiewicz Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Dr. Ernest Gerö, adwokat: *Eheschliessungs und Trennungsfreiheit in Ungarn.*

Broszurka nader ważna, szczególniej dla tych, którzy w swym kraju z powodu obowiązujących praw nie mogą otrzymać prawnego rozwodu i zawrzeć ważnego wobec ustaw małżeństwa. Wydana w języku niemieckim i czeskim. Cena 1 kor. Do nabycia u nakładcy dra Ernesta Gerö, adwokata w Budapeszcie VII. Elisabetring 17.

M. Rybowski. *Baśnie ludu polskiego.* Wydanie drugie powiększone. Z 13 illustracyami J. Kruszewskiego i L. Winterowskiego. Lwów, Nakładem G. Seyfartha, Warszawa, Gebethner i Wolff. 1911. Czcionkami drukarni ludowej Lwów.

Najwybitniejsi pedagodzy zalecają baśnie, jako wyborny czynnik wychowania. Piśmiennictwa obce posiadają mnóstwo dziełek, w których baśnie gminne obrobiono i zastosowano dla dziatwy. Autor zebrał w okolicy Biecza garść baśni ludowych, które znawcy ocenili pochlebnie. Opracowane nader starannie przy zachowaniu wiernem treści, zwrotów mownych i toku opowiadania naszego ludu, nadto ozdobione licznemi rycinami, doczekały się w krótkim czasie drugiego wydania, powiększonego o kilka nowych baśni. Nadają się szczególniej na podarki dla naszej dziatwy.

Na obchody narodowe ukazały się nakładem „Związku teatrów i chórów włościańskich“ dwa nowe utwory sceniczne:

1 **„Chrzest w ogniu“** obraz dram w 1 akcie z dziejów męczeństwa ludu polskiego przez Annę Neumannową (cena 80 hal.), w której autorka przedstawia okrutne prześladowania unitów podlaskich.

2. **„Dworek pod lasem“** epizod z czasów powstania 1863 roku w 1 akcie przez Bolesława (cena 80 hal.)

Oba te utwory napisane żywo i z dużym talentem, są cennym nabytkiem naszej ludowej literatury dramatycznej, wzbogacając znakomicie repertuar amatorskich scen włościańskich i miejskich.

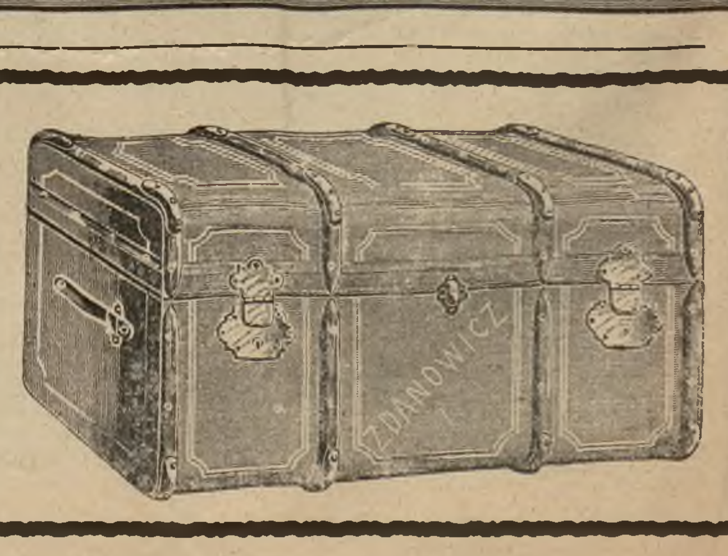
Do nabycia w „Związku teatrów i chórów włościańskich“ we Lwowie (ul. Ossolińskich 12, III. p.)

Głosy publiczne.

Pospieszny parowiec **Mauretania** linii Cunarda przybył onegdaj, jak doniosły depesze o godzinie 10 minut 8 do angielskiego portu Fishguard ukończywszy podróż z Liverpoolu do Nowego Jorku i z powrotem do Fischguard, w której zdobył rekord światowy. Po czterdziestojednogodzinnym postoju w Nowym Jorku rozpoczęto jazdę powrotną w sobotę dnia 17 grudnia. Cała podróż tam i z powrotem, łącznie z wypoczynkiem w Nowym Jorku wymagała jedenastu dni i dwudziestu czterech godzin czasu, przeciętna chyżość wynosiła 25.07 węzłów, największa w jednym dniu przebyta droga 582 mile. W tym czasie przewieziono z Europy do Ameryki i z powrotem ogółem **trzy tysiące** podróżnych oraz 3800 sztuk worków z listami i pakietów.







Ze świata kobiecego.

Karnawał tegoroczny jest bardzo długi, a stare doświadczenie uczy, że ilekroć karnawał jest długi, pierwsza jego połowa bywa martwą, druga dopiero przynosi ożywienie gorączkowe niemal, wieczystą ową gonitwę za tem, co stracone...

Wielkie działa balów publicznych wytacza się dopiero pod koniec takiego karnawału, a w obecnej chwili kampania rozpoczyna się dopiero podjazdowemi utarczkami prywatnych wieczorków.

Domowe wieczorki w rodzinnem kole bliskich znajomych, są zazwyczaj głównie polem popisu dla młodziutkich panienek, zaledwie w świat wstępujących, które nie spróbowały jeszcze sił swoich na szerszej balów arenie. Dla takich właśnie dajemy dziś wzór nasz (Rys. 1) krótkiej wieczorowej sukienki. Wiadoma rzecz, że takie „prosto z igły“ panienki są najzaciętszemi przeciwniczkami krótkich sukien i staczają zazwyczaj wojnę o każde kilka centymetrów długości, suknia bowiem z powłóczystem trenem jest dla nich zawsze ideałem i celem westchnień. Tymczasem błąd to wielki z ich strony, niema bowiem nic wdzięczniejszego nad krótką sukienkę, odsłaniającą ładną nóżkę; taką, nakazuje przywdziewać tegoroczna moda młodym panienkom na wieczorki. Nasz model przedstawia nam taką pełną uroku toaletę wieczorową z lekkiej organtyny lub *mousseline de laine*. Na to, by opisać słowami jej doskonały wdzięk dziewczęcy, trzebaby raczej być poetą, niż zwykłym sprawozdawcą. Pomimo prostoty swego pomysłu, całość ma prawdziwy urok świeżości i piękna. Bluzeczka ułożona w głębokie fałdy z wcinanemi rękawami, tak samo ułożonemi w fałdy na podszewce z lekkiego jedwabiu, bądź wyciętej spodem przy staniku, bądź dochodzącej aż po brzegi wykroju. Spódniczka ma zaszewki, dochodzące do połowy, dołem ozdobiona w odpasowane szlaki z tegoż samego materyału; szlak ten powtarza się u wykroju bluzki. Szarfa z lekkiego jedwabiu, przystosowana do desenia sukni, podnosi strojność prostej tej a wdzięcznej toalety. Chcąc ją uczynić wytworniejszą, należy wykonać w leciutkim jedwabiu z szarfą z atłasu *charmeuse*.



Rys 1. Suknia wieczorowa dla młodych panienek z *mousseline de laine*.



Rys. 2. Nowoczesna fryzura z wielkiemi szpilkami z szylkretu.

Oddawszy karnawałowi, co jest karnawałowe, powróćmy do kwestyi ubiorów powszechniejszego użytku.



Rys. 3. Negliż poranny z perskiego jedwabiu.

Rys. 3 daje nam negliż poranny z perskiego jedwabiu, w fasonie korzystnie zdobiącym smukłe figury panienek lub młodziutkich mężatek. Krój tegoż jest wielce prosty i niewymyślny; rękaw krajany razem, na ramieniu po obu stronach po trzy zakładki. Kołnierz, pasek i mankiet z aksamitu lub atłasu uzupełniają kokardy z aksamitek czy wstążek.

Rys. 4: suknia z *drap des dames* z bortami z metalowego haftu. Hafty te stanowią *dernier cris* mody sezonu i mają tę niezmierną zaletę, że może je sobie każda z pań wykonać łatwo i szybko. Wykonane są one łańcuszkowym ściegiem w jedwabiu tegoż samego koloru co suknia, lub też, co jeszcze efektowniejsze, nićmi błękitno-stalowemi, platynowemi albo matowo-srebrnemi. Podwójnie, do trzech razy wykonany, drobnym ściegiem taki łańcuszek, z przystrojem z perełek lub płaskich połyskliwych kamyczków, daje wspaniały efekt, osiągany niewielkim nakładem pracy.

Najnowsza suknia tego sezonu, suknia „ostatniej mody“, czy to będzie bardzo elegancką, czy bardzo prostą i skromną; czy to będzie wykonaną z lekkiego sukienka czy z jedwabiu lub atłasu, czy wreszcie z jakiegobądź wełnianego materyału; czy to będzie zdobna w bogaty przystrój, czy też cakiem gładka. Krótko mówiąc, bez względu na to, do jakich przeznaczoną jest okoliczności, pccząwszy od zwykłego odczytu, aż do najdystyngowańszej *five o'klokthee*, jeżeli tylko ma być istotnie toaletą ostatniej mody, musi mieć pewne charakterystyczne cechy, bez których nie osiągnie nigdy zaszczytnej nazwy najnowszego stroju. Musi zatem w pierwszej linii być krótką; powłóczyste suknie są dziś przestarzałe i noszą je tylko te kobiety, którym wiek ich pozwala nie stosować się ściśle do nakazów wszechwładnej mody. Musi dalej mieć nieodcinany rękaw, musi, o ile możności, mieć w sobie coś ze stylu *empire* i nakonec musi bezwarunkowo być wązką. Wąską, wązką i jeszcze raz wązką. Jeżeli czyni zadość tym warunkom, chociażby była nie wiedzieć jak pozatem skromną i prostą, będzie już posiadać pie.częć „ostatniej mody“ i nowoczesnej elegancyi; jeśli zaś cech tych nie posiada, nie pomoże jej największa nawet strojność — prawdziwie modną nie będzie. Prostota, wielka prostota — ale nowoczesność, styl danej chwili — to powinno być dewizą i zasadą prawdziwie eleganckiej kobiety.

Mora.



Rys. 4. Suknia z *drap des dames* z haftem metalowym.

Wielka Szarada do nagrody!

25 nagród wartości 3000 koron! **25 nagród wartości 3000 koron!**

Szanownym Czytelnikom „*Nowości illustrowanych*" dajemy do dyspozycyi *jedenaście liter*, zapomocą których można utworzyć sto rozmaitych wyrazów. Jeżeli litery owe oznaczymy liczbami 1 do 11 i liczby te, jak poniżej zestawiać będziemy, to otrzymamy rozmaite wyrazy, których znaczenie podajemy:

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11.

Czytane w tym porządku, dają one nazwisko państwa niezawisłego w pcłudniowo-wschodniej części płaskowzgórza Iranu.

1) 10. 8, 8, starożytny pieniądz rzymski.
2) 6, 7, 5 narodowość.
3) 2, 3, 7 pseudonim polskiego poety.
4) 4, 3, 2 mieszkanie pszczół.
5) 1, 7, 9 inaczej istnienie.
6) 3, 10, 8 miejsce zarośnięte drzewami.
7) 8, 10, 8 herb polski.
8) 10, 3, 2 gatunek piwa.
9) 3, 2, 11 roślina.
10) 8, 10, 11 rzeka w Galicyi.
11) 1, 10, 11 naczelnik rządu w Chorwacyi.
12) 6, 10, 3 nieprzyjemne uczucie.
13) 8 7, 11 członek rodziny.
14) 8, 10, 5 ogród owocowy.
15) 8, 2, 11 stan podobny do śmierci.
16) 1, 10, 3 zabawa tańcująca.
17) 11, 4, 3 inaczej zero.
18) 10, 8, 9, niemiecki filozof i filolog.
19) 2, 9, 10 litera grecka.
20) 10, 3, 9 rodzaj głosu.
21) 1, 2, 3, 10 król węgierski.
22) 8, 9, 7, 3 sposób pisania.
23) 10, 1, 2, 3 imię biblijne.
24) 10, 11, 11, 10 imię żeńskie.
25) 9, 3, 2, 11 składnik powietrza.
26) 3, 4, 9, 7 miesiąc
27) 1, 4, 5, 10 nędzne mieszkanie.
28) 7, 2, 11, 7 pieniądze japońskie.
29) 1, 4, 9, 7 część ubrania.
30) 9, 10, 11, 7 ulubiona zabawa młodzieży.
31) 8, 9, 10, 3 gatunek żelaza.
32) 8, 10, 3, 10 wielki pokój.
33) 9, 10. 2, 3 moneta chińska.
34) 3, 2, 5, 10 postać mitologiczna.
35) 1, 2, 9, 10 litera grecka.
36) 9, 2, 3, 3 bohater narodowy szwajcarski.
37) 9, 4, 1, 10 rodzaj trąby.
38) 2, 9, 11, 10 wulkan w Europie.
39) 6, 10, 1, 10 znany płaz.
40) 1, 10, 1, 7 po angielsku dziecko.
41) 1, 10, 10, 3 bożek babiloński.
42) 7, 10, 3, 4 rzeka w Mandżuryi.
43) 2, 5, 2, 11 inaczej raj.
44) 3, 2, 9, 2 rzeka znana z mitologii.
45) 3, 10, 5, 7 angielska dama.
46) 3, 2, 11, 10 rzeka w Syberyi.
47) 4, 8, 9, 10 część twarzy.
48) 8, 2, 4, 3 miejscowość na Korei.
49) 9, 2, 1, 7 miasto w Beocyi.
50) 10, 5, 2, 11 kolonia ang. w Arabii.
51) 10, 3, 1, 10 część ubioru kapłana.
52) 1, 2, 5, 10 historyk kościelny z VII. w.
53) 3, 4, 1, 10 inaczej kochana.
54) 5, 4, 6, 7 inaczej wielki.
55) 9, 2. 9, 10 litera grecka.
56) 11, 10, 9, 10, 11 imię męskie
57) 8, 9, 10, 11, 7 miejscowość w Galicyi.
58) 1, 10, 1, 2, 3 wieża biblijna.
59) 8, 9, 10, 2, 3 francuska pisarka
60) 1, 2, 1, 2, 3 znany niemiecki polityk.
61) 5, 10, 11, 9, 2 poeta włoski.
62) 1, 10, 3, 3, 10, 5, 7, 11, 10 utwór Słowackiego.
63) 1, 4, 3, 3, 10 papieskie rozporządzenie.
64) 9, 7, 9, 4, 8 cesarz rzymski
65) 9, 7, 9, 10, 11 starożytny olbrzym.
66) 5, 2, 5, 10, 3 słynny budowniczy w starożytności.
67) 1, 2, 3 3, 10 imię żeńskie.
68) 8, 9, 10, 3, 2 ławki w kościele.
69) 1, 2, 11, 5, 10 znany aktor polski.
70) 11, 10, 1, 10, 1 inaczej bogacz.
71) 1, 10, 3, 3, 10, 5. 10 utwór poetycki.
72) 8, 10, 11, 11, 10 zimowa przyjemność.
73) 1, 10, 5, 7, 3 sucha gałąź
74) 1, 4, 11, 5, 10 rodzaj okrycia wierzchniego.
75) 1, 4, 5, 5, 10 założyciel jednej z religii.
76) 10, 5, 10, 11, 10 miejscowość pamiętna rzezią Ormian.
77) 3, 10, 1, 2, 9 znana gra w karty.
78) 5, 2, 3, 9, 10 litera grecka.
79) 3, 10, 9, 7, 11 mieszkaniec starożytnej Italii.
80) 4, 3, 10, 11, 10 powieść Kraszewskiego.
81) 9, 10, 1, 4, 11 gromada dzikich koni.
82) 9, 7, 1, 2, 9 kraj w Azyi środkowej.
83) 10, 9, 2, 11, 7 miasto w Grecyi.
84) 1, 2. 8, 9, 7, 10 dzikie zwierzę.
85) 9, 10, 3, 2, 11, 9 starożytny pieniądz grecki.
86) 5, 4, 1, 2, 3, 9 ptak brodzący.
87) 1, 10, 11, 10. 11, 7 owoce południowe.
88) 1, 10, 3, 10, 8, 9 inaczej obciążenie.
89) 10, 8, 8, 4, 10, 11 miasto w Egipcie.
90) 1, 2, 3, 3, 10, 8 miasto w Portugalii.
91) 10, 11, 10, 11, 10, 8 owoc południowy.
92) 10, 9, 9, 7, 3, 10 wódz Hunów.
93) 1, 2, 3, 10, 7 francuski pisarz.
94) 10, 8, 1, 2, 8, 9. minerał ogniotrwały.
95) 9, 10, 11, 5, 2, 9, 10 lichy towar lub stare rupiecie.
96) 5, 7, 8, 9, 10, 11, 8 oddalenie.
97) 1, 10, 1, 4, 7, 10. 11 archipelag azyatycki.
98) 8, 9, 4, 5, 2, 11, 9 inaczej uczeń.
99) 1, 10, 11, 5, 7, 9, 10 rozbójnik.
100) 10, 8, 7, 8, 9, 2, 11, 9 inaczej pomocnik.

Czytelnicy ubiegający się o powyższe nagrody, muszą się zastosować do następujących warunków:

1) Rozwiązanie Szarady powinno być nadesłane w dostatecznie opłaconym liście z napisem na kopercie u góry: **Rozwiązanie szarady konkursowej**, najpóźniej do dnia 31 stycznia 1911 r. pod adresem **Redakcya „Nowości illustrowanych" Kraków XV. ul. Nowowiejska 83.** Listów nieopłaconych lub niedostatecznie ofrankowanych nie przyjmujemy.

2) Rozwiązanie można posłać tylko na specyalnym kuponie, który należy wyciąć z **„Nowości illustrowanych„** i wszystkie rubryki należycie wypełnić. **Na osobnej kartce, opatrzonej nazwiskiem rozwiązującego, należy dołączyć znaczenie podanych stu wyrazów w oznaczonym cyframi porządku.**

3) Nadsyłający rozwiązanie z Galicyi **musi być prenumeratorem Nowości illustrowanych i prenumerować nasze pismo wprost w centralnej Administracyi Kraków, XV. ul. Nowowiejska l. 83.** Natomiast Prenumeratorów z Ces. Rosyjskiego i Królestwa Polskiego warunek ten nie obowiązuje, muszą jednak do rozwiązania dołączyć kwit odnośnej księgarni lub biura dzienników, na dowód, że pismo nasze przynajmniej na kwartał zaprenumerowali

4) Jednemu i temu samemu prenumeratorowi nie przysługuje prawo przysłania kilku rozwiązań.

Nazwiska Prenumeratorów, którzy w terminie wyżej podanym nadeślą trafne rozwiązania, zostaną ogłoszone wraz z numerami porządkowymi w numerze 5. z dni 4-go lutego 1911. W dniu zaś 12 lutego 1911 nieodwołalnie, odbędzie się w lokalu Redakcyi przy ul. Nowowiejskiej l. 83 losowanie nagród.

Za rozwiązanie powyższej Szarady przeznaczamy:

25 nagród łącznej wartości 3000. koron.

I-sza nagroda: Fortepian wyrobu pierwszorzędnej firmy wartości 1200. koron.

2) Zegarek złoty o dwu kopertach 250 kor.
3) Rower . . . . 230 „
4) Łańcuszek złoty do zegarka 200 „
5) Dubeltówka syst. Lankaster 180 „
6) Gramofon z 6 płytami . 150 „
7) Pierścionek z szafirem . 100 „
8) Garnitur do palenia . 80 „
9) Neceser skórzany do podróży 70 kor.
10) Serwis na umywalnię . 65 „
11) Srebrna papierośnica . 65 „
12) Lampa postumentowa . 50 „
13) Serwis porcelanowy do herbaty 50 „
14) Kosz na owoce . . . 50 „
15) Laska z srebrną rączką 40 „
16) Przybory do golenia . 40 „
17) Przybory toaletowe damskie 30 „
18) Lornetka teatralna . . 30 kor.
19) Przybory do pisania na biurko 25 „
20) Torebka skórzana damska 25 „
21) Portfel na banknoty . 20 „
22) Necesser z przyborami do szycia 15 „
23) Portmonetka ze skóry . 15 „
24) Kasetka papieru listowego 10 „
25) Ozdobna kasetka pomadek i cukrów 10 „

Oprócz tych 25-ciu nagród, przeznaczamy jeszcze jedną **w kwocie 100 koron gotówką**, dla tego z naszych P. P. Prenumeratorów, który z powyższych 11 liter utworzy najwięcej wyrazów.

„NOWOŚCI ILLUSTROWANE" 1911. Nr.

Kupon do rozwiązania szarady.

Znaczenie cyfr 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11

Imię i nazwisko rozwiązującego

Miejsce zamieszkania (dokładny adres):

Ostatnia poczta:

Prenumeratę zapłaciłem na rok 1911 dnia:

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

39

— Puść mnie... Może kto przechodzić przez korytarz.. Musimy być *correct*...

— Karolu!...

— Te pożegnania rozdzierają mi serce... Skróćmy je...

Odsunął delikatnie swą przyjaciółkę i wyszedł. Samochód Panajona nie odjechał jeszcze daleko, gdy z przed Tuileries Palace ruszyła dorożka samochodowa, w której Ewa udawała się na ulicę Laugier.

„Jest dopiero pół do szóstej — rozmyślała młoda panna. — Najpóźniej za kwadrans będę na miejscu. Wszystkie jeszcze zastanę w pralni".

Ewa pragnęła bardzo, by dawne jej towarzyszki ujrzały ją w całym jej przepychu, w kostyumie za piętnaście luidorów, w kapeluszu wielkim jak parasolka i w futrze, za które mogłaby przeżyć dawniej cały rok. Szofer przyzwyczajony już do żądań swej stałej pasażerki ruszył szybko, tak iż Ewa znalazła się wkrótce przed swą dawną pralnią. — Wchodząc do sieni, szepnęła mimowoli:

— Boże! Co za nora!

Przez te trzy dni, które spędziła z Panajonem w Tuileries Palace i w pierwszorzędnych restauracyach, przyzwyczaiła się już do czystości, elegancyi i komfortu. Już nie temi oczami patrzyła na świat, co dawniej. Korytarz ten zadziwiał ją. Nie wyobrażała sobie, by był on tak wązki, ciemny i brudny. Stróżka, która jawiła się przed nią, omal, że jej nie przestraszyła.

— Gul... gul... gul...

„Już zdążyła się napić — pomyślała Ewa. — Lecz ciebie, moja stara, pomijam... Nie miałabym nawet przyjemności zadziwiać cię.

Matka Ladroule ukłoniła się z szacunkiem tak wystrojonej damie, lecz ta przeszła koło niej, nie zwracając uwagi na pijaczkę.

Prasowaczki i pani Lambert zajęte były robotą. Drzwi otworzyły się bez pukania. Wszystkie głowy podniosły się od żelazek. Wchodziła młoda kobieta. Na sobie miała strój, jaki opisują w arystokratycznych dziennikach. Przynajmniej tak oceniła go pani Lambert i jej pomocnice. Właścicielka pralni podeszła szybko do przybyłej.

— Czem mogę szanownej pani słu...

Nie dokończyła, lecz stanęła osłupiała z rozwartemi ustami.

— Dobry wieczór paniom! — rzekła młoda panna dźwięcznym głosem.

Starała się zachować spokojny a zarazem godny wyraz twarzy. Z trudem tylko ukrywała radość, na widok zdziwienia, z jakiem została powitana.

Pierwsza odezwała się Julia. Zdumienie jej zamieniło się odrazu w wściekłą zazdrość. Aż pobladła ze złości. Wykrzywiła twarz niby do uśmiechu i spytała:

— Dobrze ci się powodzi!

Ogólne kiwanie głowami potwierdziło to zdanie, wyrażające jasno wywarte na wszystkich wrażenie.

— Powinszować! Powinszować! — zdołała się wreszcie odezwać właścicielka.

— To tak musiało się skończyć... — rzekła sentencyonalnym tonem mała czarna Berta, robiąc zgorszoną minę.

Jasna i spokojna Helena rozwarła szeroko oczy. Gruba Leontyna, przyjęta na miejsce Ewy, rzucała na prawo i lewo pytające wejrzenia. Nie mogła się jeszcze domyśleć, co się dzieje. Żelazka stały nieruchomo na stole i stygły. Pani Lambert nie zwracała nawet na to uwagi.

— Jak się wam powodzi? — zapytała Ewa.

— Nie źle, dziękuję — odpowiedziała Julia.

Szukała jakiego słowa, którem by mogła ukłuć swą dawną towarzyszkę, lecz nic jej nie przychodziło do głowy. Wściekłość sparaliżowała jej wprawny do wymysłów język.

— To bardzo pięknie, żeś o nas nie zapomniała— rzekła Helena.

— A powiedz, gdzie mieszkasz... byśmy mogły cię rewizytować... — odezwała się złośliwie czarna Berta.

— Mieszkam obecnie w Tuileries Palace — odpowiedziała spokojnie Ewa.

— Psiakrew! — zaklęła ze zdumieniem pani Lambert.

— Po powrocie jednak do Paryża zajmować będę apartament w Polach Elizejskich.

— Wyjeżdżasz?

— Resztę zimy mam spędzić na wyspach kanaryjskich.

— Ojczyźnie kanarków... — dodała Berta, która przez ustawiczne czytanie romansów, nabrała dużo rozmaitych wiadomości,

— Będzie ci tam w takim razie bardzo dobrze — zauważyła złośliwie Julia.

Ewa jednak na to nie odpowiedziała. Zadowoliła się tylko wyjęciem swego maleńkiego złotego zegarka, obsypanego brylantami. Oczy, które skrupulatnie dotychczas rozpatrywały wszystkie szczegóły toalety młodej panny, spoczęły teraz chciwie na tem jubilerskiem cacku. Julia z bladej, stała się zieloną.

— Ah, już jest późno! — rzekła Ewa, patrząc na zegarek. — Czy Ludwika nie prędko wróci? Dokąd poszła?

Ostatnie zdanie skierowane było do pani Lambert, odpowiedziały jednak na nie wszystkie prasowaczki razem:

— Ludwika? Musisz na nią długo poczekać.

— A spotkasz ją prędzej w twoim Tuileries Palace, niż tutaj.

— I ona puściła się za tobą!

— Jakto?... — zdziwiła się Ewa. — Co znaczy? Gdzie ona jest?

— Ludwika — odpowiedziała właścicielka — odesłała mi przed wczoraj koszyk od bielizny i czterdzieści franków za czas, którego nie dobyła do końca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

LOGOGRYF.

Ułożyła Mita T. z Bolechowa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Litery, umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nazwiska dwu miast, azyatyckiego i europejskiego.

□ – – – – –
– □ – – – –
– – □ – – –
– – – □ – –
– – – – □ –
– – – – – □
– – – – – □
– – – – □ –
– – – □ – –
– – □ – – –
– □ – – – –
□ – – – – –

Znaczenie wyrazów: 1. Morze w Europie. 2. Miasto w Rosyi. 3. Inaczej śmieszność. 4. Rzeka w Afryce. 5. Imię męskie. 6. Inaczej orszak. 7. Miasto we Włoszech. 8. Inaczej woźny. 9. Rodzaj ziemi. 10. Taniec. 11. Miasto na Kaukazie. 12. Pozdrowienie słowiańskie.

KWADRAT MAGICZNY.

Ułożył S. Mildwurm, Przemyśl.

Litery tak uporządkować, aby utworzyły cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a b b
k ł m o
o r r r

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Europie. 2. Bożek miłości. 3. Wiatr. 4. Napój.

SZARADA.

Ułożył J. Piątkowski, Ujezna.

— Miałem jechać! Nie pojadę!
Cóż ty robisz? Piszesz wiersze?...
— Ot, układam tę szaradę!
— Kto tam puka?.. Ach to pierwsze!
Jakże zdrowie?.. Mróz na dworze?
— Niech go dyabli raz już biorą!
Człowiek zagrzać się nie może,
Zrobiłem dziś drogę sporą!
A wy obaj przy gazecie?..
— Ot, Nowości przeglądamy,
Człek się dowie, co jest w świecie,
Co piątek je tutaj mamy.
Trzecie drugie już dostałem...
Cóż tam znowu za godzina?
Jakieś wrzaski usłyszałem!
— Nic! To całość tam przeklina!

TROJKĄT MAGICZNY.

Ułożył J. Menczak, Radymno.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę miejscowości słynnej z historyi polskiej.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ – – – – – – –
□ – – – – – –
□ – – – – –
□ – – – –
□ – – –
□ – –
□ –
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię żeńskie. 3. Miejsce krzakami zarosłe na stepie. 4. Inaczej źrebię. 5. Imię męskie. 6. Roślina pastewna. 7. Pasmo gór pod Troją. 8. Zaimek. 9. Samogłoska.

ŁAMIGŁOWKA.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, da nam nazwisko polskiego poety i tytuł jego dzieła.

□
– □ –
– – □ – –
– – – □ – – –
– – – – □ – – – –
– – – □ – – –
– – □ – –
– □ –
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Inaczej dźwięk. 3. Powieść Prusa. 4. Mieszkaniec Europy. 5. Zwierzę z rodziny łasic. 6. Inaczej miły. 7. Dziennik lwowski. 8. Okres czasu. 9. Spółgłoska.

SZARADA.

Ułożył J. Piątkowski, Ujezna.

Rzecz niezbędna to na świecie,
Każdy życzy drugim, sobie
Wiesz co to jest? Drugie trzecie
Nigdy nie potrzebne w grobie,
Lecz gdy się czwarte przyłączy
Wtedy smutek na twem czole,
Jak ciężka lawa się sączy,
Westchniesz smutnie: umrzeć wolę!
Całość zawsze pierwsze — trzecie
Kto ci dobrze tutaj życzy,
Lecz mało takich na świecie,
Garstkę szczerych każdy zliczy!..

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* **Litwackie mrowie.** Powieść współczesna.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.